

MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIII. Nr. 38. WARSZAWA, 3 WRZEŚNIA 1933 R. CENA NUMERU 80 GR.

KLIO W GOŚCINIE U SYRENY

I

KIEDY ksiądz biskup Godlewski witał, imieniem Piusa XI-go, VII międzynarodowy kongres nauk historycznych, nakreślił w przemówieniu swojem syntezę wzajemnych stosunków pomiędzy Kościołem a historjografją. Było to tembardziej—jak mówi Francuz—*á propos*, że *monsignor* Godlewski, sam historyk, reprezentował tu innego historyka, *monsignora* niegdyś Rattiego, monografistę i bibljotekarza „Ambrozjany".

Jeżeli zaś otworzymy wielką księgę niedawnego gościa naszego, G. P. Gooch'a: *„History and historians in the nineteenth century"* [1]), to uprzytomnimy sobie do reszty ewolucję, jaka dokonała się w ciągu ostatnich lat 150-ciu, a którą b. sufragan łucko-żytomierski zaznaczył także w swojem przemówieniu.

Kościół mianowicie, mocny tradycją Ojców Kościoła, kronikarzy zakonnych, Kadłubków i Długoszów, Mabillonów i Bossuetów, właśnie w ciągu tego samego stulecia XIX-go, które żyło jeszcze całe karmią Rewolucji, otwiera archiwum watykańskie. Ale, jak poinformował mnie świadek naoczny, senator Jabłonowski, kiedy, na przełomie nowego stulecia, zbierał się w Rzymie pierwszy międzynarodowy kongres nauk historycznych, to Stolica św., właściwa gospodyni tego miasta, świeciła na nim oczywiście jeszcze nieobecnością.

Więc to było pierwszem, zdaniem naszem, znamieniem VII-go kongresu warszawskiego, po upływie lat trzydziestu: wielkie ożywienie w zakresie studjów nad zagadnieniami religji, Kościoła, spirytualistycznych prądów filozoficznych, z drugiej zaś strony—tak liczny, tak rzucający się w oczy na kongresie udział księży świeckich i zakonników nie jednego obrządku.

II

Kiedy się weszło np. do sali IX-ej Politechniki, gdzie rej wodził Zieliński, uderzonym się wprost było ilością sutann, habitów czy kwefów nawet: mobilizacja armji watykańskiej.

Tu przemknęła się nam jasna suknia Matki Łubieńskiej, historjografki sprawy dyssydenckiej, tam Jezuita Heras z Bombaju rozmawiał z konfratrem swoim Bednarskim z Krakowa, tu siedzieli Benedyktyni Schmitz i Ostrowski, tam Bazyljanin Skruteń, tędy migał się biały habit Dominikanina Delos'a, a iluż księży świeckich: David z Krakowa, Leman z Lille, Cieszyński z Poznania, Obertyński ze Lwowa.

W sekcjach, jeżeli nie na *plenum*, uwydatniało się znowuż zainteresowanie zagadnieniami religijnemi. I nie tylko w sekcji tej VI-tej, gdzie dominował, jak się już rzekło, niezbyt ortodoksyjny autor „Sybilli". Tam dochodziło coprawda do starć ostrzejszych, kiedy Halecki przeciwstawiać się musiał koledze warszawskiemu Czarnowskiemu, który nie zawahał się, w referacie swoim, nazwać Skargi demagogiem. Lods z Paryża mówił tam o korzeniach monoteizmu izraelskiego; amerykanin Wilbur, osiadły od roku w Polsce, o uwielbianej przez siebie postaci Fausta Socyna; profesor Obertyński o Kościele ormiańskim w Polsce; Ojciec Bazyljanin Skruteń o historji swojego zakonu; wiedeńczyk Völker o tolerancji w Polsce; ojciec Ostrowski o późnym Konkordacie wschowskim (1737); pozatem zgłoszony został szereg referatów o bardziej lokalnem dla nas znaczeniu, ale interesujących niemniej tematach: o kongregacjach religijnych we Francji, o Italji religijnej wieku XVIII-go, o próbach pogodzenia kościołów protestanckich i t. d.

---

[1]) Rozdział *„Catholicism"*.

III

Powiedziałem, że i w innych sekcjach — nietylko tej (dziejów religji i historji dziejowej)—przewijała się nić zainteresowań religijnych. Zainteresowanie to wiązało się z całym szeregiem kwestyj metodycznych, filozoficznych, społecznych czy literackich, które wyłaniały referaty Kongresu. W pewnej mierze utożsamiało się ono z tą *„Querelle des anciens et modernes“*, jaką przedstawia spór o kulturę pomiędzy bolszewikami a ich antagonistami.

Faktem jest wszakże, że gdziekolwiek, w jakiejkolwiek sekcji kongresu zapowiedziany był referat bolszewicki, publiczność tłumnym, nie chcemy powiedzieć: owczym pędem, śpieszyła na odpowiednią salę. Dierżawin czy Wołgin, Preobrażenskij czy Łukin mieli dla niej jednaką siłę przyciągającą. Ale faktem pozostaje dalszym, że z reguły (sumienny reportaż niechaj posłuży za gwarancję prawdy!) tażsama publiczność wychodziła z sal, gdzie odbywały się te referaty i dyskusje—rozczarowana.

Jakiż tego powód? Leży on, zdaniem naszem, przeważnie w tem, że nauka bolszewicka tak bardzo pozbawiona jest tradycji. Jak u nas nie byłoby zapewne Kalinki bez Naruszewicza, a nowej generacji historyków bez Kalinki, jak we Francji—Thiers zrodził Madelin'a, Mignet Hanotaux'a, Tocqueville Lavisse'a, jak w Niemczech Mommsen, Treitschke, Droysen, Sybel, Heigel stanowią dla młodszego pokolenia badaczy niebylejakich antenatów, tak i w Rosji Karamzin i Kariejew,Sołowiew i Cziczerin, Wiesiołowskij i Siemijowskij — każdy w swojej specjalności i rodzaju—nadawaliby się na twórców nowych dynastyj naukowych. Stało się jednak inaczej — i może dlatego tak blado brzmiały wywody te, które mieliśmy sposobność słyszeć: Dierżawina czy Gorina w sekcji wschodniej kongresu, Preobrażeńskiego w jego sekcji nowożytnej, Wołgina na zamknięciu w Teatrze Polskim.

IV

Druga *„la grande vaincue“* wielkiej wojny, Niemcy, stawiły się też dosyć licznie na zjazd warszawski. Przewodniczył ponoć ich delegacji profesor Brandi, poważny badacz Renesansu o bardzo europejskiem wejrzeniu. Mniej wszakże taktowne ze strony ich delegacji było przywiezienie ze sobą do Warszawy profesora Ottona Hoetzscha, którego pamiętamy przed wojną wszyscy w Poznaniu jako hakatystę. Profesor Hoetzsch wdzięczył się, jak mógł, do Polaków, o ile mu na to pozwalała pruska jego rasowość, ale długi jego (i może nieco chaotyczny) wykład w sekcji 10-tej (prawo i instytucje), pomimo wielu nazw i nazwisk polskich weń wplecionych, nie przełamał lodów pomiędzy nim a polską publicznością.

Dużo więcej za to sympatji pośród tych słuchaczy pozyskała sobie ujmująca sylweta prof. Rothfelsa z Królewca, inwalidy wojennego, który, jak głosiła fama kongresu, posiada przymieszkę krwi semickiej, z powodu jednak wielkich zasług wojennych doczekał się immunizacji ze strony hitlerowców. Więcej, niż postać, przyciągało nazwisko Wilhelma Mommsena z Marburga, wnuka wielkiego Teodora, samegoż zaś autora ostrej polemiki z Emilem Ludwigiem. Gdańsk reprezentował Fryderyk Luckwaldt, profesor politechniki.

V

Delegacja włoska imponowała liczebnością, przygotowaniem, ruchliwością. Na czele jej stał b. minister oświaty Piotr Fedele, który w sekcji średniowiecznej wygłosił odczyt o senacie rzymskim, sekundował mu senator Joachim Volpe, który w sekcji nowożytnej mówił o *„Risorgimencie“*; *„spiritus movens“* delegacji był mój przyjaciel (z czasów wojny) Giuseppe Gallavresi z Medjolanu, a gdy wyjechał, kolega jego boloński Leicht, b. podsekretarz stanu. W sekcji wojskowej świecili mundurami i wiedzą: Mario Roatta, b. *attaché* wojskowy w Warszawie, referujący o Legjonach Dąbrowskiego oraz kapitan Guido Almagia, szef instytutu historycznego marynarki włoskiej. Padwa, tyloma węzłami złączona z Polską, przysłała byłego swojego rektora, Giannina Ferrari dalle Spade i inżyniera Antoniego Brillo.

Tu zaraz podkreślić należy—a zaznaczam, że do krytyki nie jesteśmy skorzy—jedno z niedomagań doskonale zresztą zorganizowanego kongresu, a mianowicie, że nie reagowaliśmy dosyć kurtuazyjnie na pełne przyjaźni wystąpienia Włochów.

W kuluarach szeptano, że wpływa na to co nieco wiatr, wiejący od naszego M. S. Z.'u, tensam, który, po ujawnieniu „paktu czterech", zdmuchnął był ambasadę hr. Potockiego, nas jednak dziwiłoby takie wtrącanie się polityki do spraw kulturalnych. Faktem jest jednak, że nikt nie potrafił zorganizować manifestacji polsko-włoskiej *ex re* wręczenia daru uniwersytetu padewskiego prezesowi Dembińskiemu, że zawiódł „serwis prasowy“ zjazdu w stosunku do świetnej mowy senatora Fedelego na bankiecie i że pustki panowały podobno w sekcji wojskowej na doskonałym odczycie Roatty, gdzie z czynnych wojskowych polskich stawił się jedynie zasłużony zresztą pisarz, major Otton Laskowski, nie wiemy wszakże, czy w takich okazjach dyplomata...

VI

Dużo mniej ekspansywności, niż Włosi, wykazywała delegacja francuska. Podczas gdy w „Polonji“ wrzało jak w ulu, gdy ten hotel robił wrażenie jakby głównej kwatery, Francuzów trudniej było spotkać na jednem miejscu i pod jeden podciągnąć mianownik. Cóż dziwnego? Tamtych w pęk jeden spoiły *„fasces“*, żelazna dyscyplina faszyzmu; ci występywali indywidualnie, solidarnie wprawdzie, lecz odśrodkowo. Nie przysłał nam Paryż żadnego z wielkich tuzów wiedzy swojej historycznej nowoczesnej: ani starego Hanotaux'a ani młodszego Madelin'a, nie przysłał tak bardzo zasłużonych przed wojną i w czasie wojny dla Polski Moysseta i Pinona. Z zapowiedzianych prelegentów nie przyjechał głośny Paweł Hazard — zastąpił go sympatyczny zresztą Bedarida. Temat polski przywiózł ze sobą Olivier-Martin (polska formacja królewska — jeśli tak rzec wolno — psychologji Walezego). Pozatem jawili się — z księży francuskich — prawnik Delos z Lille, historyk David z Krakowa, Dom Filibert van Schmitz (Belg z opactwa w Marcdsous) i t. d.

„Gwiazdorem“ delegacji stał się Diehl, bardzo już sędziwy, ale reprezentatywny i młodzieńczo żywy, „sekretarzował“ jej niejako profesor Lhéritier, robiący wrażenie nieco biurokratycznego przedstawiciela nauki, z młodszych uczestników dodatnie zostawił wrażenie Rajmund Lebègue,

profesor humanistyki w Rennes. *J'en passe, et des meilleurs.*

VII

Delegacje innych narodów nie występowały tak zwarcie i spoiście, jak włoska zwłaszcza i bolszewicka, a wydawały się mniej liczne od niemieckiej, a także i francuskiej. Z angielskiej — zapamiętaliśmy Gooch'a, Temperley'a, autora „Historji konferencji pokojowej“ i Harley'a, który mówił o stanowisku Anglji w roku 1863-im. Z Czech — utkwili nam w pamięci: dobry znajomy Polski, Bidlo oraz Niemiec Pfitzner, który pięknie referował o kongresie praskim 1848 r. Z Bałtów wybili się w sekcji wschodniej: Łotysz Spekk i Estończyk Treiberg. Z Węgrów—interesujący temat z historji wczesnego średniowiecza miał Diveky. Z Rumunów dominował Jorga, zabierał głos jego kolega, minister Nistor z Czerniowiec, a Handelsman, odczytem swoim o Czartoryskim, wywołał dyskusję rumuńską. Mówił mi Jorga, że Bułgarzy, Jugosłowianie i Grecy niemal nie obesłali kongresu, zważywszy że zanadto ich absorbują stworzone przez niego historyczne kongresy panbałkańskie. Nie błyszczeli też naogół na kongresie Hiszpanie republikańscy. Z Holendrów, jeden z nich, Jezuita, wywołał, jedną z najświetniejszych na kongresie, dyskusję holendersko-polską. Zawiedli Japończycy, Amerykanie (kryzys dolara?), i Szwajcarzy, (nie było tyle zasłużonego w Polsce Rossiera z Lozanny), nie przyjechał Dopsch z Wiednia (ew. trudności z delegacją niemiecką?) ani Pirenne z Brukseli (choroba) ani Łunaczarski z Moskwy, choć wszyscy trzej byli zapowiedziani. Nie było też oczywiście nikogo z Litwy.

VIII

Nie było też naogół i zanadto „tuzów“ na kongresie. Z Polski nie zjawił się Askenazy, Achilles gniewny na Atrydę — Handelsmana; o absencji akademików francuskich już się rzekło; i w Niemczech bodaj że wymarli wszyscy najwięksi, a nowe pokolenie nie wydało jeszcze ich następców. W Anglji takoż nie słychać o następcach Macaulay'ów i Carlyle'ów, Włochy, choć tak prężne, już nie są w stanie wskrzesić Bonghich, Cantu'ów i Villarich.

Dominowała więc — nietyle elita, ile demokracja kongresowa.

IX

Delegacja polska stawiła się licznie i pokaźnie: świadczą o tem dwa tomy „*La Pologne au Congrès*“, które zaimponowały cudzoziemcom. Świadczą dwa inne, zawierające referaty cudzoziemców, nadesłane na kongres, wydane także przez Polaków. Świadczyła dalej doskonała organizacja kongresu, zasługa bodaj w pierwszym rzędzie p. Manteuffla.

Natomiast — i to był znów objaw ujemny — uwydatniło się nieco i na kongresie istniejące *de facto* rozbicie historyków polskich. Wszak w samej Warszawie funkcjonuje bodaj parę grup, mało o sobie wiedzących, lub zgoła się zwalczających: wpływowi „Handelsmanici“, władający w „Kamienicy książąt Mazowieckich“ wraz z ekspozyturą Biura historycznego sztabu i *outsiderzy*, rozbici może jeszcze na parę grup. Na samym kongresie fatalnych skutków te secesje nie przyniosły, ale charakterystycznym objawem była obcość, niejednokrotnie stwierdzana, t. j. osobista nieznajomość kolegów zawodowych, zamieszkujących tosamo miasto.

X

A teraz zapytać należy, czy w tem, kilkaset głów liczącem gronie, które znoiło się nad zagadnieniami kongresu, zaświtała jaka myśl przewodnia, uwydatniły się jakie tendencje wytyczne.

Dążenie do syntezy — uwydatnione zostało we wstępnym odczycie Bidla (w sekcji orjentalnej), w tytule zasadniczego odczytu Berra (w sekcji metodologicznej), w niektórych rzutach Diehla, Jorgi, Fedelego i nieobecnego, ale referującego na zjeździe Pirenne'a, — rzutach, zlewających niejako w jedną całość rozdzielone dotąd od siebie epoki (np. średniowiecze i starożytność), upraszczających niektóre podziały, stwierdzających tak nieprzerwalność tradycji rzymskiej aż po głębokie średnie wieki, a tradycji bizantyjskiej aż do dzisiaj („Eurazja“). To wszystko tchnęło duchem syntezy.

Obok tego — przeważał bodaj pęd do subjektywizmu badacza nad martwym objektem, przeważał pęd do spirytualizowania dziejów (patrz referat Bidla!), a choć w referatach i dyskusji zatrącano o problemat wspólnoty i autarkji, czasem na niekorzyść tej ostatniej, to, z drugiej strony, stwierdzano niejednokrotnie daleko posunięte w dziejach uprawnienia nacjonalizmu (Włosi, Niemcy, Dembiński w zakończeniu Kongresu).

XI

Kongres dał rezultaty i wzbudził w szczególności duże zainteresowanie historją polską.

Podnieść tu raz jeszcze należy liczny udział w pracach sekcyjnych uczonych polskich: średniowieczników, jak Bujak, Halecki (autor podręcznika francuskiego dziejów polskich specjalnie napisanego na kongres), Semkowicz, Tymieniecki, Wojciechowski i Arnold (ci czterej o problematach osiedleńczych i społeczno-politycznych); znawców Renesansu i Reformacji, jak Kot (ewolucja społeczeństwa polskiego od „Odrodzenia“ do „Oświecenia“), Birkenmajer (o Koperniku), Karol Górski (o upadku Krzyżaków), Pułaski (o tajnej służbie angielskiej w wieku XVI), Skibniewski (o inkwizycji); znawców wieku XVII, jak Sobieski (o Mazarinim), Tyszkowski (o walkach polsko-moskiewskich), Piwarski (o walce o Bałtyk); XVIII-go (Dembiński — o St. Auguście, Konopczyński w dyskusjach sekcyjnych); XIX-go wkońcu: Lewak i Handelsman—w zakresie historji emigracji, Folkierski i Żółtowski w zakresie historji kultury i inni.

Ale nietylko uczeni polscy referowali historję polską. Wspomnieliśmy już o Brillu, Olivierze-Martinie, Pfitznerze, Harley'u, Roaccie; Włoch Pacifici omówił kandydaturę esteńską na tron polski; Francuz Rohmer dzieje osiadłej w Polsce rodziny Baluze'ów; Włoch Filangieri korespondencję neapolitańską o Polsce w dobie wojny 7-letniej; Anglik Baxter historję Szkotów w Polsce; Włosi Maver i Nucci kontakty kulturalne polsko-włoskie; Rumun Panaitescu stosunki handlowe polsko-mołdawskie; Anglik Reddaway mówił o angielskiej polityce względem Polski za St. Augusta, Francuzi Boyé i Dópriéaux o ikonografjach Leszczyńskiego i J. Poniatowskiego; Anglik Cobban o Burke'm i Polsce; Włoch Gerola

o ikonografji królów polskich; francuzi Mansuy i Réan o stosunkach francusko-polskich; Włosi Silva i Bersano-Begey o stosunkach włosko-polskich w dobie „*Risorgimenta*“; Rosjanin Gorin o imperjaliźmie rosyjskim w Polsce itd.

Sekcja żydowska wypadła dosyć blado: urzędujący w niej patrjoci zbyt dużo mózgów pożyczyli byli asymilatorom.

O masonerji był jeden jedyny referat — podpisanego. Wypowiedziany niezbyt pono naganną francuszczyzną (co dogadza snobom), dyskusji nie wywołał niemal żadnej, a, przeciwnie, na twarzach niektórych starszych członków kongresu, uśmiechy zakłopotania, jakbym był powiedział coś nieprzyzwoitego...

XII

Dodajmy do tego wszystkiego oprawę kongresu: pogodę złotej, wczesnej polskiej jesieni, apartamenty Zamku, Wawelu, pałacu Radziwiłłowskiego, Mniszchowskiego, „Baranów“ krakowskich, kamienicy książąt Mazowieckich i Królikarni, gościnność i jej rozlej, stare odnawiane znajomości, przepych pamiątek po Sobieskim w Wilanowie i na Wawelu, dobrą francuszczyznę polską, brzmiącą na kongresie i starą kulturę francuską w Łazienkach, urok pań polskich, który podobno rozpraszał nudy w „Teatrze Narodowym“, tany w „Adrji“ i „Bristolu“, krajobrazy Pienin i Białowieży, a wyczerpiemy walory, powaby i znamiona tego kongresu VII-go Muzy historycznej, największego bodaj z dotychczasowych kongresów naukowych w Polsce odrodzonej, tej wizyty internacjonalnej Kliony u Syreny, — jak powiedział Temperley na zamknięciu kongresu — tak „zasobnej w historję“.

KAZIMIERZ MARJAN MORAWSKI

WYŻSZE ASPIRACJE

„...Godność ludzką kobiety należało powoli i stopniowo wywalczać“ („Społeczne ideały chrześcijaństwa“ Halban). Chrześcijaństwo zamknęło raz na zawsze okres w dziejach ludzkości, kiedy wolno było traktować kobietę jako bezmyślne narzędzie pracy lub przyjemnościowy dodatek w życiu mężczyzny. „Nie jest wolny, ani niewolnik, nie jest mężczyzna ani niewiasta“ (św. Paweł). To było niesłychane i nie da się porównać z żadną ze zdobyczy, osiągniętych później przez kobiety. Życie odtąd nabierało głębokiej treści i mogła zostać zaspokojona najwyższa z aspiracyj, jaką kiedykolwiek miałaby kobieta: była człowiekiem.

Później chodzić już mogło tylko o formę życia, o takie lub inne stanowisko formalne, prawne. Oczywiście, największe zmiany w tej dziedzinie przyniósł okres zaszczepiania się w społeczeństwach prądów demokratycznych. Rozpoczęła się walka o równouprawnienie kobiety, w zasadzie najzupełniej słuszna. Należało kobiecie przyznać prawo do wiedzy, do brania udziału w życiu narodów, otworzyć przed nią wrota na świat. Dlatego na szczere uznanie zasługuje ciężka praca pierwszych kobiet-bojowniczek. Ale zmiany, zachodzące w życiu kobiet, zastały je widocznie nieprzygotowanemi. I dlatego pierwsze skutki równouprawnienia były ujemne. Ująć je można w dwie zasadnicze kwestje: niepożądane zmiany w psychice kobiecej i zaniedbanie rodziny, będącej dotąd wyłącznym terenem pracy kobiet.

Liczne kobiety, stając do tej samej pracy, która dotąd była specjalnością mężczyzn, uważały za swój obowiązek upodobnić się do mężczyzny również sposobem ubierania i zachowania się. Nastąpiła, w pewnym sensie, maskulinizacja kobiet. Z jednej strony kobiety-działaczki, korzystające z równouprawnienia po to, żeby się rzucić w wir pracy, śmieszne jednak w swem przesadnem naśladownictwie typu męskiego. Twarde słowa, zamaszysty krok—sufrażystki. Z drugiej strony te, które bez analizowania zdobytych praw, bez wnikania w intencję walki o równouprawnienie, skorzystały bardzo jednostronnie z identyfikowania sposobu życia mężczyzn i kobiet. W przyznanej swobodzie znalazły pretekst dla dezynwoltury obyczajowej. Na tym gruncie znakomicie rozwinąć się mógł patologiczny typ „*la garçonne*“.

Nic dziwnego, że oba typy, odarte z prawdziwej kobiecości, nie znalazły uwielbienia w zdrowem społeczeństwie. Zrozumiałe są nawet protesty przeciw równouprawnieniu. Tylko że protesty te wynikały ze zbyt powierzchownego ujmowania zjawisk, z pomylenia chwilowych konsekwencyj z istotnym celem.

Równie przejściowym objawem, występującym pod wpływem oszołomienia zdobytemi prawami, było zlekceważenie obowiązków dawnych, obowiązków domowych.

Najwyższem dostojeństwem, jakie w oczach innych kobiet stawiało na wyżynach jedną z nich, stał się tytuł naukowy, albo wybitne stanowisko polityczne. Kobieta-doktór, kobieta-minister były wcieleniem najwyższych aspiracyj, ideałem. Jakże marne stały się w zestawieniu z temi wspaniałościami codzienne zajęcia kobiece! Być czemś, znaczyło: pracować zawodowo, wszystko jedno czy ma się powołanie i zdolności. Byle na efekt mieć jakieś stanowisko. Matka i pani domu, to wydało się zbyt szarą pozycją w świecie, trącącą parafjańszczyzną. Kobietom „wybitnym“ wybaczono, że zaniedbują własny dom. Te wielkie umysły nie mogły „marnować się“ i parać domowemi zajęciami. Rodzina stała się pogardzanym terenem pracy, ciężkiem jarzmem i to właśnie było niezdrowe, niemoralne w szerzących się prądach feministycznych. W pojęciu jarzma zawsze tkwi pierwiastek inny — chęć wyzwolenia się. Masowa praca zawodowa kobiet była wynikiem tego dążenia do „wyzwolenia się“. Pani, pracująca poza domem, zrzucała z siebie lekko troski i kłopoty. Dom przechodził pod kuratelę obcych. Na usprawiedliwienie takiego stanu rzeczy znaleziono nawet argument, że dzieci wychowywać winni fachowcy, nie każda zaś kobieta ma odpowiednie zdolności wychowawcze. Argument niezwykle wygodny i niesłychanie demoralizujący. W konsekwencji musiało przyjść obniżenie poziomu życia rodzinnego i to było wielką społeczną stratą.

Jeżeli zaś chodzi o same kobiety, takie warunki życia musiały na nie wpłynąć ujemnie. Każda ucieczka od obowiązków demoralizuje człowieka. Wprowadzenie kobiet do zawodów, nie od-

powiadających ich psychice, wymagających odpowiednich zdolności, jak np. zawody politechniczne, musiało powodować z jednej strony marnowanie wysiłków, które mogły być użyte z większem powodzeniem w innym kierunku i sprowadzało niesłuszne, ogólne lekceważenie pracy kobiecej. Praca zawodowa tak, jak ją traktowały masy kobiet, której istotą był tylko zarobek, działała poprostu ogłupiająco. Niezliczone rzesze biuralistek, zapełniających swe życie stukiem maszyny do pisania, postawić można o wiele niżej od pracujących w „ciasnym światku“ pań domu. Przez wybitą bramę na szeroki świat kobiety wyszły poto, aby same wtłoczyć się w zautomatyzowane, przerażająco bezbarwne życie, często deprawujące, kiedy w walce konkurencyjnej o posady musiały uciekać się do sposobów, poniżających ich godność. I wreszcie straszna degradacja, jaką było zapędzenie kobiet do hal fabrycznych i skazanie na życie, które zabijało w nich siły fizyczne i moralne, życie kobiety — robotnicy.

Tak więc wyglądają ujemne następstwa równouprawnienia. Z chwilą jednak, gdy jest się zdolnym do analizowania strat, łatwiej można ich uniknąć, a równocześnie wyciągnąć *maximum* korzyści z wytworzonego stanu rzeczy.

Przyznane prawa ułatwiają kobiecie rozwijać swój umysł, rozszerzać horyzont uczuć i zainteresowań. Doświadczenie uchroni ją od zmanierowania i maskulinizacji. Wytworzy się nowy typ kobiety, stojącej na wyższym stopniu rozwoju od kobiety dawnej, często ograniczonej w swych zainteresowaniach i uczuciach. Ale ta nowa kobieta będzie kultynowała wszystkie dodatnie cechy swych poprzedniczek. Bogactwo serca i subtelność potrzebne są w życiu tak, jak surowa bezwzględność męska. I dlatego, dążąc do istotnego postępu, nie możemy pozwolić na zanik tych odrębności, dzięki którym kobieta wzbogacała życie zbiorowe.

Stwierdzając więc istnienie różnic w psychice kobiecej i męskiej, przyjąć należy również odrębność terenów pracy. Najwyższą ambicją kobiet musi być to, aby pracować tam, gdzie praca ich będzie najwartościowsza. Są takie dziedziny życia, gdzie one właśnie są najpotrzebniejsze i niezastąpione. Pierwsza i najważniejsza — to dom własny. Tu nie może być mowy o żadnem zamiłowaniu czy zdolnościach. Praca na tym terenie jest naturalnym obowiązkiem kobiety i nic jej nie może od tego obowiązku zwolnić. Jednocześnie żadna inna praca nie może być piękniejsza i bardziej twórcza. Działając na jakimkolwiek innym odcinku, kobieta może spełnić tylko minimalną część tej pracy, która tworzy życie narodu, a często jest wtedy tylko biernem narzędziem. Praca w rodzinie jest sama w sobie zamkniętą całością.

W budowie życia rodzinnego dominującą rolę odgrywa kobieta. Z jej inicjatywy życie to może rozwinąć się do najwyższego poziomu. Pod jej wpływem kształtują się dusze ludzi, żyjących z nią pod jednym dachem, a przedewszystkiem dusze dzieci. Wszystkie ideały życia najpełniej mogą być realizowane w tym małym, samoistnym świecie. Dlatego więc wychowanie kobiet iść musi w kierunku przygotowywania nietylko do fachowo-gospodarczych zajęć, ale przedewszystkiem musi przygotować je moralnie i umysłowo. Im bardziej rozszerza się życie społeczne, tem wyższy musi być stopień rozwoju moralnego, społecznego, kulturalnego i t.d. kobiety, twórczyni życia rodzinnego. I w tym wypadku równouprawnienie może mieć konsekwencje najzupełniej dodatnie. Praca w rodzinie nie może jednak pochłonąć kobiety całkowicie. Przez sam udział w życiu społecznem kobieta naprzód kształci siebie, potem zespala silnie życie rodziny z życiem narodu, związuje je swem uczuciem i pracą w całość nierozerwalną. Wreszcie, stając do społecznych warsztatów pracy, uzupełnia luki, wywołane jej nieobecnością. A więc praca społeczna niezawodowa, zmontowanie i kierowanie organizacyjnem życiem kobiecem, udział w organizacjach ogólnych, przedewszystkiem charytatywnych, wszędzie tam, gdzie intuicja i zdolność odczucia cudzej krzywdy są konieczne. Następnie udział w pracach politycznych, organizowanie wychowania politycznego kobiet, udział w pracach ciał ustawodawczych, gdzie głos kobiet, w pewnych dziedzinach zagadnień, może mieć niejednokrotnie wagę taką, jaką ma głos najlepszych ekspertów. Objęcie wreszcie takich dziedzin pracy zawodowej, jak opieka społeczna, sądownictwo dla nieletnich i kobiet, prace wychowawcze i t. d.

O ile jednak udział w pracach społecznych i politycznych jest obowiązkiem ogółu, o tyle praca zawodowa może mieć raczej charakter wyjątkowy. Po pierwsze dlatego, że stała praca zawodowa absorbuje znaczenie więcej czasu, niż bądź co bądź dorywcza praca społeczna, dlatego pozwolić sobie na nią mogą głównie kobiety niezamężne, czy bezdzietne. Po drugie praca ta opierać się musi na odpowiednich zdolnościach, gwarantujących dobre wyniki. Natomiast wszelka praca zarobkowa, to znaczy przyjmowana jedynie z myślą o korzyściach materjalnych, nie pozwalająca dobrze spełnić obowiązków domowych i społecznych, musi być wykluczona. Pomijam stronę ekonomiczną tego zagadnienia, jako stanowiącą odrębny i obszerny temat. Chodzi mi o to, że z punktu widzenia korzyści moralno-społecznych należy stworzyć warunki takie, aby kobieta, mająca obowiązki rodzinne, nie potrzebowała pracować zarobkowo poza domem. Ale tu, oprócz interwencji kobiecej, koniecznie jest odpowiednie ustosunkowanie się mążczyzn. Jeśli mężczyzna nie nauczy się cenić kobiecej pracy domowej, jeśli nie zrozumie, że praca ta ma nieraz wartość społeczną większą od jego pracy pozadomowej, raz na zawsze kobietę od pracy tej odepchnie.

Jeśli zatem mężczyzna uważać się będzie za wszechwładnego dyktatora przez to, że wnosi namacalny zarobek—pieniędze, a nie zrozumie, jak wysoką wartość ekonomiczną ma praca domowa kobiety, mimo wszystkich nawoływań kobieta do domu nie wróci. O tem także muszą pamiętać matki, przy wychowaniu synów traktujące pobłażliwie te rzeczy, których nie darowałyby swym mężom.

Wzajemne ocenianie wartości i harmonijna współpraca mężczyzny i kobiety jest koniecznym warunkiem zdrowego życia rodzinnego.

Tak—mniej więcej—na kwestję udziału kobiet w życiu społecznem spogląda dzisiejsze młode pokolenie, a przedewszytkiem to, które nadawać będzie wkrótce ton całemu życiu kobiecemu, to, które wychowywało się w Obozie Wielkiej Polski. Wziąć z przeszłości to, co było w niej pięknego — wszystkie najlepsze tradycje Polek i zamknąć je w naszych duszach. Umysł rozwinąć tak, aby umiał pojmować rzeczy wielkie, sercem wwiązać się w Naród. Każdy dzień znaczyć celową i konsekwentną pracą, żyć pełnem i twórczem życiem — to nasze aspiracje.

MARJA SUCHENI

JESZCZE ECHO „REWELACYJ" BOYA O MICKIEWICZU

W „WIADOMOŚCIACH LITERACKICH" z 20 ub. m. wydrukował p. Żeleński list p. Ludwika Pugeta, którym radby mnie ku większej swojej chwale pognębić. Jeżeli na to wogóle reaguję, to nie ze względu na p. Żeleńskiego, któremu dwukrotnie czarno na białem udowodniłem niedozwolone chwyty, wprawdzie tylko w „ABC", którego nie czytują może czytelnicy „Wiadomości Literackich", co mi jednak zupełnie wystarcza, — ani też ze względu na „Wiadomości Literackie" które, jak to już stwierdził Irzykowski, choć mają pretensje do objektywności, bardzo są od niej dalekie i które zarówno mojej ongi odpowiedzi Boyowi, jak i jego, o wiele słodszej, nie uważały za stosowne zamieścić. — Jeśli zatem jeszcze raz o tem piszę, to wyłącznie ze względu na nazwisko człowieka szanownego, które w tę sprawę zostało wmieszane, z jego własnych pobudek, którym nic nie można mieć do zarzucenia.

Pan Puget przysłał mi kopję pisma swego do p. Żeleńskiego, z listem, w którym wyraża swój żal, że rzecz przez niego powtórzona poszła takiemi drogami, uważa jednak za swój obowiązek, ze względu na żywego człowieka, swego przyjaciela to pismo mu przesłać. Przypomniał mi tem samem — szkoda tylko, że nie mógł tego zrobić odrazu — to, o czem przypuszczeniu dałem wyraz w mojej pierwszej replice w „ABC", a co p. Żeleński przez opuszczenie połowy ustępu przekręcił, jak mu to w mojem następnem oświadczeniu wytknąłem. Ustęp ten brzmiał jak następuje: „Nie mogłem nikogo o tem (o istnieniu „dokumentów" otrucia M.) jako o rzeczy niezgodnej z prawdą informować. Mogłem natomiast mówić o innych, znajdujących się w archiwum medyckiem dokumentach, Mickiewicza dotyczących, o których już zresztą otwarcie powiedziano... Ponieważ zaś plotka o śmierci M. znana była także i u nas, zupełnie było możliwe, że rozmowa o M. i tej plotki dotknęła. Mógł zatem rozmówca p. Ż. jedno z drugiem pomieszać, i w dobrej wierze p. Żeleńskiemu rzecz niedostatecznie zrozumianą i sprawdzoną powtórzyć, nie licząc się z buduarową metodą naukową p. Ż. W tym wypadku i ja musiałbym się uderzyć w piersi, iż niedość wyraźnie i ostrożnie wogóle te sprawy poruszałem..."

Otóż biję się w piersi, biję się w piersi, że przyczyniłem się mimowoli do drugiego „dowodu", oprócz głośnych zielonych tek Bibljoteki Czartoryskich,—a oto przykład, jakiemi drogami chodzi plotka historyczna, z powodu „niedość wyraźnego i ostrożnego poruszania" jej, utrwalana przez Boyów.

To, co mam w tej materji, jest to zdanie — osobistości będącej pozatem kopalnią współczesnych, stwierdzonych wiadomości, (ale do którego ta wersja nawet mogła już po latach dwudziestu zgórą dojść zdeformowana, jeśli celowo zdeformowaną była). Zdanie to brzmi tak: „...tak samo oficer z doktorem, którzy byli przy Adamie, skończyli go, co jest tajemnicą poliszynela...". Z tą notatką zeszły się następujące fakty: a) że z biegiem lat tę stambulską tajemnicę poliszynela, autentyczną czy nie, różne niedoboye z pewnych sfer — a jakich, to dla mnie już dziś jest po przewentylowaniu sprawy przez Pigonia, Wasilewskiego, Harbuta... jasne — zdołały zainsynuować generałowi Władysławowi Zamoyskiemu, która to plotka w późniejszych pokoleniach krążyła i doszła także i do mnie, nie zajmującego się bliżej tą kwestją; — i b) że wiadome mi było skądinąd, iż był w tym czasie na wschodzie jakiś inny wojskowy Zamoyski (August?) — Skojarzywszy sobie te dane, mogłem był dać wyraz memu przekonaniu, że pewni Polacy celem zachowania prestiżu (nie „legendy"!) wielkiego imienia M., podtrzymującego emigrację, kiedy zaczął na starość dywagować (jak to określała ta plotka), dopuścili się istotnie czegoś na pograniczu obłąkania, zbrodni i bohaterstwa. W tem też znaczeniu mogłem był dodać, że mam świadectwo, któreby mi tę sprawę potwierdzało.

Winni jesteśmy obydwaj: zarówno ja, jak i p. Puget, który stwierdza że „układu zdania nie pamięta" i który musiał, będąc pod zrozumiałem wrażeniem tematu, zbyt silny nacisk położyć na „dokument", co tem bardziej mogło się stać, że — jak to już pisałem — musiałem mówić równocześnie o innych „dokumentach", tyczących się Mickiewicza. Oczywiście i ja także słów nie pamiętam, wiem jednak tak samo, że nie użyłem i nie mogłem użyć np. słów o potrzebie wyratowania „legendy" M., ani — jak znowu inaczej ujął to p. Ż.—o ratowaniu „od hańby Mickiewicza i Polski".

Wszyscy w sprawach, któremi się szczególnie nie zajmujemy, winni jesteśmy podobnych nieścisłości. Źle to jest, ale rozgrzesza nas tu poniekąd w rozmowie prywatnej nasza dobra wiara i stopień koincydencji faktów, — dopóki w tym negliżu, *„in statu nascendi"* naszej garderoby myślowej, niedopięci, nie wychodzimy na ulicę, a z *„on dit"*, z rozmów przefiltrowanych przez kilkoro ust, bez zasięgnięcia dowodów u źródła, nie czynimy sobie metody naukowej.

Powiadają, że jednak ta metoda i Boy, jej wyznawca, są potrzebni, bo gdyby nie on, toby się nie dociekało niejednej prawdy, której dochodzi się dopiero w reakcji na zbyt dotkliwą i natrętną tej metody efronterję. — Ale powiadają także, że nawet cholera i tyfus, uodporniając w jakiś sposób organizm, nie są bez zalet. Wobec tego należałoby chyba wpuszczać do wodociągów bakcyle cholery i tyfusu.

Mimo wszystko wdzięczny jestem Boyowi, że jest tą „cholerą i tyfusem". Winni jesteśmy wszyscy,—a przedewszystkiem ci, którzy się tem zajmowali, — temu, że do tych rewelacyj, jakie już dziś mamy, nie doszli i nie dochodzą drogą badań ścisłych, ale, lekceważąc plotki i insynuacje, w dobrej wierze przyjmowane przez społeczeństwo polskie, zostawiają sprawę dalszemu obrabianiu przez redaktorów działów seksualnych „dla starszych panów" — w pismach wątpliwych intencji.

Jednak *„faute de merles ou mange des grilles"*... Dzięki p. Żeleńskiemu wiem dziś, jak było

ze śmiercią, Mickiewicza, wiem że istotnie to, o czem wówczas przekonany byłem, jest prawdą o tyle, że Mickiewicz... został otruty — ale jeśli tak, to wiem też dziś, Bogu dzięki, że nie maczał w tem rąk żaden Polak, tylko jakieś „huzary”, Moszki Horrensteiny, doktory Rotenstrauchy i inne ich konfratry. Takie jest przynajmniej, dzięki kampanji p. Żeleńskiego, moje przekonanie osobiste. Aby zaś każdy mógł sobie o tem własne wyrobić zdanie — tego odsyłam do dużo silniejszych „dowodów“, niż te, jakie sam posiadam, do broszury prof. Pigonia, choć sam autor wniosków tych nie wysnuwa, oraz do artykułów Z. Wasilewskiego z relacją Gropplerowej („Myśl Narodowa“ Nr. 38, 39, 41 i 43 z r. 32), oraz do relacji Harbuta (w „Dzienniku Poznańskim“, powtórzonej i komentowanej przez „Myśl Narod.“ (Nr. 4 z r. 33), nie mówiąc o wielu innych.

MICHAŁ PAWLIKOWSKI

KARTKA Z DZIEJÓW ROSYJSKIEGO WYCHOWANIA PAŃSTWOWEGO W POLSCE

(Ciąg dalszy)

4. WSPOMNIENIA SZKOLNE FELIKSA BRODOWSKIEGO O 2 TYPACH SZKÓŁ ROSYJSKICH

CIEKAWE porównanie tych typów szkół rosyjskich przed Bugiem i za Bugiem znajdujemy we „Wspomnieniach“ Feliksa Brodowskiego (wydanie 1929 r.), ucznia Seminarjum Lubelskiego, mojego kolegi z niższych dwóch klas, a później Szkoły Realnej w Równem, też rosyjskiej i przez to rusyfikacyjnej, ale nie gwałcącej tak bezlitośnie uczuć i godności ludzkiej, jak w Lublinie.

Cytuję dosłownie urywek ze „Wspomnień“ Brodowskiego, bo one bezpośrednio oddają najlepiej to uczucie wstrętu i nienawiści, które ten system wychowawczy budził i jeszcze po 50 latach budzi:

„Czem było gimnazjum lubelskie w owe czasy (wstąpiłem tam do drugiej klasy w dwunastym roku życia, a 1875) — pamięta zapewne wielu. W obrzydliwem tem wspomnieniu pewne momenty nie wydają mi się dość jasnemi i bezwątpienia ludzie, którzy gimnazjum to ukończyli, lub dłużej odemnie (byłem tam przed wstąpieniem do Szkoły Realnej w Równem dwa lata) — w niem przebyli i większą z ciałem nauczycielskiem mieli styczność — dużo więcej odemnie powiedzieć i obraz cały pogłębić i plastyczniej wystawićby mogli. O plastykę zewnętrzną nie idzie mi, idzie mi tylko o obraz zniszczenia, jaki dokonywa się w duszy dziecka, gdy myśl jego zetknie się z domem szkolnym, zamienionym na dom nierządu myśli władzą „chamstwa“. W zewnętrznym jednak tego domu obrazie, powiadam, widzę w swojem wspomnieniu punkty niejasne. Rozumiem w zupełności istnienie systemu ciemiężenia szkolnego pierwiastków narodowych i wszelkiego samodzielnego prężenia myśli nawet po drogach, nie objętych bezwzględnym zakazem, systemu świadomie skierowanego ku usunięciu wszystkiego co żywe z nauki. System taki bynajmniej nie jest uwarunkowany programem tym czy innym, realnym, czy filologicznym... Gdy z przeniesieniem się do Równego stoczyły się ze mnie głazy, to nie dlatego, że greckiego i łaciny mi ujęto, lecz że — z domu przedpogrzebowego poszedłem do szkoły — skromnej, wiele jeszcze braku mającej, ale szkoły. I oto, czego nie rozumiem — zamknąć naukę szkolną w budynku, gdzie przystoi leżeć nieboszczykom przed oddaniem ich ziemi, nie jest łatwo; niedość nakazu, potrzeba do tego spółudziału mnóstwa rąk, mózgów, czynnego — pozatem nawet — udziału tych wszystkich, którzy się tam zamknąć dadzą i wmówić w siebie, że to jest szkoła... Z takiej szkoły może wyjść albo człowiek okrojony w kostkę, albo jakiś krańcowy anarchista, jakiś niszczyciel bezwzględny dla rozkoszy niszczenia, w kim długa rozpacz i nękanie spruły wszystkie szwy więzi moralnej. O takich nie słyszałem[1]), natomiast słyszy się i widzi ot — lekarzy, adwokatów, przeciętnie bardzo porządnych ludzi... W czemże wyraził się protest mój — dziecka o bardzo słabo zarysowanych pierwiastkach czynnych, niezdolnego do oporu gwałtownego, do śmiałego buntu i urzeczywistnienia tego, co tylko w marzeniu przejawiło — by uciec do Sydora (mularza) i z jego chłopakami nosić cegłę i szafliki z wapnem, — co w istocie dla zdrowia duszy i ciała byłoby stokroć pożyteczniejsze?... Moja nienawiść, może ze strachem z niemocy czynu płynącym pomieszana, zatykała wszystkie pory duszy i walka z jadem musiała mieć przebieg tylko wewnętrzny. Poczęło się zatem niszczenie wnętrza, komórek duszy. Coś przesłaniało mi widzenie... Nie widziałem matki. Gdy mówiłem jej o swym bólu, ona mi mówiła o zasadach, obowiązku, ofierze. Znienawidziłem te słowa. Niechby ciało w jakiej ofierze niszczyć, ale myśli nie wolno, ona powszechna i boska. Przestałem czytać... Stępiałem... Wtedy rozpoczął się proces zniepráwienia moralnego. Z ponurych zakamarków, które są w duszy każdego człowieka, choć światełko dobra je przesłania lub zgoła mrok z nich wypłaszać może — wypełzł gad kłamstwa. By nie pójść do szkoły, udawałem chorobę, potem udawałem, że idę do klas i chyłkiem, tylną furtką lub przez parkan wkradałem się z powrotem i kryłem się w drwalni lub na stryszku z sianem... Do matki zaczęły dochodzić wieści. Pewnego razu przywołała mnie bardzo wzruszona, z pełnemi łez oczyma. „Ty kłamiesz?“ zapytała. „Tak“. „Nie chodzisz do szkoły?“. „Nie mogę“. „Marzłeś na strychu?“. „Nie, tam cieplej, niż w klasie — i mam pająka“, mówiłem, jak przez szczyty obłędu. Otwarła mi ręce i płacząc oboje wtuliliśmy

---

[1]) Przeciwnie, ze szkoły lubelskiej wyszli rosyjscy wychowańcy — najzacieklejsi bolszewicy, jak Krylenko „gławnowierch“ armji sowieckiej, późniejszy najokrutniejszy prokurator wojenny, i inni.

się w siebie, jak to kiedyś dawniej. Znów byliśmy jedno. Odzyskałem matkę. Powiedziała: „Nie pójdziesz tam więcej. Niech będzie przeklęta szkoła, która nauczyła cię kłamać“. Jakże czczę Jej cień, jak dziś całuję Jej ręce za te słowa... Ale to było po dwu latach. Dwa lata, drodzy moi, w życiu dziecka... Odzyskałem matkę. Równe już w roku następnym sprawiać zaczęło, że potrochu, potrochu zacząłem odzyskiwać siebie. Ale czy zniszczone tkanki duszy mogą jeszcze narosnąć? Nie wiem. Myślę, że po ranach duszy zostają też zawsze blizny, guzy, stwardnienia, których mogłoby nie być... Wy, co chowacie dzieci, pomyślcie nad tem... Dlaczego równieńską Szkołę Realną, zestawiając ją z gimnazjum lubelskiem, nazywam w istocie Szkołą? Bo nie ciemiężyła. Były braki w podaniu poznania, nie było ciemięstwa: przypominam sobie tego starego dyrektora, olbrzyma, owiniętego w zrudziały płaszcz, jak nocami krąży po mieście, zaglądając do stancyj uczniowskich. Czy szpiegował nasze myśli? Nie, patrzał, czy te dzieci duże, czy małe — n i e r o b i ą s o b i e c z e g o z ł e g o. Czy ich kto nie wciąga w złe miejsca—czy nie wpadły w szkodliwe nałogi — czy mają dosyć snu — czy im na stancji dają zdrową strawę. Był ich stróżem dobrym. Wyrzucono starego i przysłano młodszego dla wykorzenienia prądów wolnościowych. Lecz napotkał opór. Nauczyciele, jak jeden powiedzieli: „Ciemiężyć nie będziemy“. Byli to ludzie zwyczajni, nie orły, choć parę umysłów bardzo jasnych, pięknych, zajmujących. Przedewszystkiem byli żywi. Sami coś czuli i myśleli, więc rozumieli dziecko i młodzież. Nie frasowali się, iż do młodych umysłów napływają najrozmaitsze kierunki i programy. Czego tam nie było — nihilizm, radykalizm, pozytywizm, ateizm, „*narodnaja wola*“, socjalizm, komunizm, anarchizm i kierunek bez nazwy, który na tem polegał, by uczyć się z zapałem, skoro los zdarzył doskonałych przewodników, jak w historji naturalnej, matematyce, historji, literaturze. Pamiętam wykłady świetne, gdzie tryskało życie, zapał, dowcip, satyra. A te różne kierunki... Wiele z nich nie mogło przystać do dziecka polskiego, spotkawszy się o próg duszy narodowej: żaden nie był prawdą, lecz wszystkie dążeniem do niej“...[1]).

5. METODA LIBERALNEGO WYCHOWANIA ROSYJSKIEGO W SZKOŁACH KRESOWYCH

Przytoczyłem te dłuższe ustępy ze „Wspomnień“ kolegi Brodowskiego, bo one dobrze charakteryzują owe metody wychowania państwowego rosyjskiego, stosowane w lubelskiem gimnazjum, jak również metody wychowania liberalnego, społecznego, także rosyjskiego, stosowane w szkole realnej równieńskiej. I jedne i drugie były dla duszy polskiej szkodliwe, choć autor przypuszcza, że te równieńskie nie mogły przystać do dziecka polskiego, spotkawszy się o próg duszy narodowej. Niestety, tak nie było. Przystały wiele razy i, niestety, one to znieprawiały, wprawdzie w inny sposób, dusze polskich dzieci, wciągając je w obcy nam kulturalny, radykalny ruch rosyjski, również nam wrogi, bo wrogi naszej kulturze, choć z innej strony, — przez swoją „pryncypjalność“, swoistego rodzaju doktryneryzm, który odwodził nasze dzieci od służby swojej kulturze, a wiódł do kultury uniwersalnej z pozoru, a faktycznie również do kultury wschodniej, anarchicznej, a zarazem niewolniczej. Znałem wychowanków tej szkoły równieńskiej w późniejszych latach gimnazjalnych (1882—84), bo, gdy rozbito ich kółko, przenieśli czasowo swoją bibljoteczkę uczniowską kółkową do nas do Lublina; tam po raz pierwszy zapoznaliśmy się z całą literaturą nielegalną rosyjską, oczywiście radykalną, socjalistyczną i ludową („narodno-wolców“), z literaturą t. zw. „abliczytelną“, t. zn. krytykującą wszystko i wszystkich pod hasłem: „*Boga niet, dusza kletoczka, otca po zubam możno*“ (Boga niema, dusza—komórka, ojca w zęby można) — zawartą w pismach Pisarewa, Ławrowa, Krapotkina, Hercena, Omczalewskiego i t. d. Na nas w Lublinie ta literatura nie wywarła głębszego wpływu, bośmy byli przez ucisk dotychczasowy nastawieni wrogo na wszystko, co było rosyjskie, ale na tych, co pochodzili z kresów i w tamtejszych rosyjskich szkołach wychowywali się, wpływ ten radykalnych rosyjskich idej był znaczny. Tem można sobie tłumaczyć znaczny udział młodzieży polskiej, z kresów pochodzącej, w ruchu rewolucyjnym rosyjskim: różnice narodowe, nie zaostrzane tam codziennem uciemiężaniem, łagodniały lub znikały zupełnie, łącząc wszystkich, Polaków i Rosjan we wspólnej nienawiści do systemu rządowego samodzierżawia, a przez to i wciągając do ruchu rewolucyjnego. Stąd pochodziło powolne rusyfikowanie się kulturalne naszych dzieci, przechodzące następnie i w polityczną rusyfikację, gdy z biegiem czasu momenty radykalnej natury w duszy tych chłopców naszych pod naciskiem życia stępione zostały — i z dawnego, radykalnego rosyjskiego rewolucjonisty pochodzenia polskiego wykluwał się powoli oportunista lojalny, pogodzony z istniejącym porządkiem rzeczy, w sprawach społecznych, a w narodowych za to usposobiony ugodowo wobec państwa rosyjskiego, najwyżej lekko krytycznie nastawiony w typie liberalno-kadeckim. Ten drugi typ szkół rosyjskich — w Kongresówce nieznany, a na kresach i w głębi Rosji częściej spotykany, był dla duszy polskiej naszej młodzieży, a stąd i dla kultury naszej—nawet niebezpieczniejszy, gdyż mocniej często łączył naszą młodzież z kulturą rosyjską, aniżeli ów pierwszy, typu lubelskiego, który swojem bezmeślnym barbarzyństwem mógł tylko odstręczać, a jedynie podlejsze, słabsze natury łamał i na modłę lojalną, ugodową przerabiał. To też w starszem pokoleniu naszych kresowców, wychowanych w takich szkołach, można dotychczas często odnaleść wiele tej „p r y n c y p j a l n o ś c i“ ogólnorosyjskiej, zupełnie obcej naszej kulturze i rasie; uwolnić się od niej, niestety, nie mogą, bo tak się od dzieciństwa z nią silnie zrośli i w niej wychowali. Ta „pryncypjalność“ rosyjskiego pochodzenia, jako sposób myślenia i osądzania wszelkich spraw narodowych i społecznych, dotychczas często nie pozwala, niestety, Polakom, pochodzącym z tych szkół, patrzeć całkiem realnie na nasze stosunki, ze stanowiska polskiego, narodowego. Kryterjum „pryncypjalne“, którem dotąd ich myślenie działa, ściga ich wszędzie w ich pojęciach i czynach. Są to często kalekie psychicznie organizacje, niezdolne myśleć

[1]) Feliks Brodowski: „Wspomnienia“—1929. Warszawa Bibljoteka Domu Polskiego. Str. 55, 56, 57, 58, 59, 62 i 63.

kategorjami narodowemi, choć formalnie i we własnem pojęciu są polskie, ale wynaturzone już w zaraniu swego dzieciństwa przez wpływ obcej, wschodniej kultury, od której uwolnić się przeważnie nie są w stanie. Przylgnęli bowiem do niej oddawna, od młodych lat, które najsilniejszemi więzami wspólnych cierpień i walk przeciw znienawidzonemu systemowi łączą zwykle ludzi. Zdaje mi się, że u nas niedostatecznie tę stronę wpływu zgubnego szkół rosyjskich na dawne pokolenie, teraz działające w Polsce, docenia się. Młodsze pokolenia wyrosły już w innej szkole, tą „pryncypjalnością“ nie są tak zarażone, tu chyba już tylko wpływ starszego pokolenia na nie oddziaływać może i oddziaływa. Powoli i ten wpływ, obcy polskiej kulturze, zniknąć musi, bo nurt narodowego życia musi go porwać z sobą, ale jeszcze zapewne dość długo trzeba będzie odczuwać te rozdźwięki w duszy polskiej, wynikłe, niestety, nie z naszej winy, lecz z wpływów obcych, którym dom polski nie zdołał się w swoim czasie dostatecznie oprzeć, a które jeszcze, choć w spóźnionym refleksie, zaznaczać się dają.

6. REAKCJA U SAMEJ MŁODZIEŻY POLSKIEJ NA TE METODY

Typ rosyjskiego „wychowania państwowego“, uosobiony w barbarzyńskiej formie i metodzie w szkole lubelskiej, także państwowo rusyfikacyjny, chociaż łamał psychicznie słabsze dusze dziecinne, chociaż robił z nich często zwyczajne, marne kreatury życiowe, gotowe do wszelkich poniżeń, ażeby tylko spokój sobie i używanie świata zapewnić, działał wszakże na lepsze natury, odporniejsze lub przez wpływ domu polskiego lepiej uodpornione,—w inny sposób,—pobudzał je do oporu, czy to otwartego, co się kończyło zwykłem wyrzuceniem ze szkoły, czy też skrytego, prowadzącego nieuniknienie do konspiracji, w tajnem przeciwdziałaniu narzuconej presji.

Oczywiście nie było to objawem zdrowego, normalnego rozwoju duszy chłopca, jaki miała i ma młodzież szkolna na Zachodzie, gdzie wszystko w szkole odbywało i odbywa się otwarcie, szczerze, bez żadnego nacisku i przymusu. W takiej wolnej, swobodnej atmosferze mogą tylko powstawać i rozwijać się dusze obywateli francuskich, angielskich, szwajcarskich i innych krajów na Zachodzie, które też potem nie znają, co to znaczy przymus przekonań, jakiś nakaz idej zgóry narzuconych. Nawet we Francji, w walce o laicyzm szkoły publicznej, narzuconej przez zaciekłe wpływy masońskie, nie odważono się na takie eksperymenty i szkoły prywatne katolickie, o kierunku katolickiej myśli wychowawczej, mogły istnieć i prowadzić, pomimo pewnych trudności, swoją działalność, a teraz, po wojnie, ta działalność jest jeszcze szerszą i głębszą.

U nas w Polsce, musiała być odpowiedź na ten przymus i nacisk zgóry: odpowiedzią była konspiracja swoista, swoisty spisek. Tu uciekały zgnębione i często znieważane w istocie narodowej i ludzkiej — dusze młodzieży szkolnej, szukając w niej odpoczynku, jak w rajskiej krainie ułudy.

Konspiracja dawała choć na chwilę wrażenie pewnej swobody myślenia, tak uciemiężonego i skrępowanego. Choć sama przez się niezdrowa, jako objaw nienaturalny dla młodego wieku, który powinien żyć w słońcu, była w tych warunkach jednak zdrowym objawem życia, bo chroniła to życie od upadku i upodlenia moralnego. I trzeba się z tem pogodzić, że zawsze tak będzie, gdy życie w szkole odbywać się będzie pod jakimś przymusem, niezgodnym ze zdrowym, normalnym rozwojem narodowego życia. To też w szkole lubelskiej prędko nauczyliśmy się spiskować, przynajmniej ta młodzież odporniejsza, psychicznie zdrowsza, nie przeczulona, a która i w domu miała zdrową moralnie, narodową atmosferę.

Oczywiście, objawy i formy tego spiskowania musiały być dziecinnie często śmieszne, ale one to chroniły nas od deprawacji i moralnej i narodowej, bo stawiały przed oczy jakiś wyższy, niecodzienny cel, jakiś górny ideał, choć dziecinnie ujęty.

Dziś jeszcze pamiętam ten pierwszy mój dziecinny, narodowy spisek we trzech w III klasie. — Było to zdaje się w 1878 r., po wojnie rosyjsko-tureckiej: zawiązaliśmy tajne sprzysiężenie, mające na celu bezwzględną walkę z Rosją — a to przez balony powietrzne. Staś Doboszyński (dziś nie żyjący), syn profesora matematyki w naszem gimnazjum, późniejszy profesor w politechnice w Tomsku na Syberji, Staś Janiszewski, syn lekarza, późniejszy nauczyciel szkół polskich prywatnych i ja przysięgliśmy sobie, że jak tylko będziemy mogli, po skończeniu szkół, zabierzemy się do budowy takiego balonu (o aeroplanach wówczas jeszcze mowy nie było) na jakiejś wyspie, opatrzymy go w bomby i inne środki wybuchowe i będziemy niemi prażyć wojska rosyjskie, zaczynając, jak pamiętam, od Afganistanu, do którego posiadania Rosja wówczas pewne pretensje miała. Sądziliśmy, że szkodząc tak potędze rosyjskiej, przyczynimy się do ustąpienia Moskali z Polski. Traktowaliśmy to zupełnie serjo: Staś Doboszyński pracował wciąż nad konstrukcją takiego balonu, był zapalonym fizykiem i chętnie się spekulacji myślowej w tym kierunku oddawał, wciąż nas zaznajamiał z postępami podobnych konstrukcyj w świecie. Niestety, ustały te najmilsze posiedzenia naszej trójki, na których istotnie wzlatywaliśmy w rajską krainę ułudy, gdy Staś po 4-ej klasie przeniósł się do szkoły realnej w Warszawie—nie było już jego, jako głównej sprężyny w tem przedsięwzięciu. Zbieraliśmy się na narady-rozmowy w umówionych miejscach Ogrodu Saskiego, gdzie wkrótce jeden z kolegów Rosjan te nasze schadzki zauważył i ostrzegał, że doniesie, choć celu ich nie wiedział. Zmuszało nas to do ostrożności, ale nie odstręczyło od spiskowania. Założyliśmy wtedy, żeby obudzić ducha odporniejszego wśród kolegów, pismo koleżeńskie szkolne z 3-ej klasy, którego kilka numerów szczęśliwie zachowałem. Numer pierwszy wyszedł 24 maja 1878 r. pod tytułem „Concordia“. Mizerne to i niezdarne było poczynanie, niezbyt nawet dowcipne, choć się na dowcip siliło, ale zawsze skupiało kilkunastu chłopców dla myśli ogólnej, dla jakiegoś ogólnego pożytku — przynajmniej zmuszało nas do pisania po polsku i do osądzania spraw szkolnych; nie pamiętam już jego losów, zdaje się, że wciąż szpiegowani, musieliśmy je zawiesić po jakimś czasie.

(D. c. n.)

STEFAN SURZYCKI

GŁOSY

MIĘDZYNARODOWY KONGRES HISTORYKÓW W WARSZAWIE sam należy do przeszłości. Zanim „pamiętnik“ zjazdu uwydatni plon dokonanej na nim pracy naukowej, przypomnieć sobie wypada zacierające się inne wrażenia. — Jednem z nowych było wrażenie niesłychanego bogactwa nauki historycznej polskiej; zdawało się, że ma to już widocznie do siebie historja, iż w tej dziedzinie o uczonych polskich najłatwiej. Właściwym międzynarodowym językiem zjazdu był też polski. Najnaturalniejszą rzeczą było, że nieznajomi najpierw próbowali porozumiewać się choćby łamaną polszczyzną, zanim nie ustalili, że żaden z nich nie jest Polakiem. Wystarczało zapomnieć, że zjazd odbywa się w Warszawie, żeby przyjemnie odczuć tę penetrację polskości. Ostatecznie fantazja nie potrzebowała się wysilać, bo zjazd był i międzynarodowy i licznie przez zagranicę obesłany. Dość było przypuścić, że najwybitniejsi przedstawiciele nauki zgromadzili się razem, żeby odnieść drugie, z pewnością też iluzoryczne, wrażenie. Oto świat daje z siebie co może najlepszego, a rezultat — nie jest imponujący. Mimowoli nasuwała się refleksja, że historja niezbyt świetnie jakoś presperuje w czasach dzisiejszych. Z jednej strony ułamkowość przyczynków, z drugiej znów— banalność uogólnień. Zjazd nie dostarczył tych podniet intelektualnych i wzruszeń estetycznych, które daje np. lektura znakomitych historyków. Oczywiście było to głównie skutkiem tego, że tak się wszystko samo reżyserje na międzynarodowym kongresie naukowym, żeby powyższe złudzenia niskiego stanu nauki powstały. Taki zjazd jest parlamentem, pracującym w niebardzo dobrych warunkach. Uczestnicy, mocni w myśleniu i w piórze, niezawsze są efektownymi parlamentarzystami, profesor może coprawda wyrobić się na dobrego mówcę, lecz jeśli woli zostać monotonnym nudziarzem, to też jego dobre prawo. Zjazd był popisem różnych rodzajów profesorskiej elokwencji. Wrażenie braku głębi było — bodaj nieuniknione, gdy każdy z przyjezdnych profesorów miał prawo mówić przez czterdzieści pięć minut o czem chce. Referaty były tematycznie całkiem niepowiązane, każdy do tego w odmiennej proporcji i skali. Te „słabe strony” są przecież także powabami międzynarodowego kongresu naukowego. Chaotyczność, której nie mógłby tolerować pojedyńczy uniwersytet, jest całkiem uznana, kiedy radzą uczeni z kilkudziesięciu uniwersytetów. Nauka wtedy ukazuje się niezorganizowana, jak niezorganizowana w gruncie rzeczy jest społeczność międzynarodowa. Zjazd historyków unaocznia szczególnie dobrze tę prawdę podstawową, że ludzkość składa się z suwerennych narodów. Trudno o prawdę bardziej pożywną i zdrową. Strach pomyśleć, coby się z historją zrobiło, gdyby na całym świecie zapanować w niej miał jeden urzędowy kierunek, tak, jak dzisiaj mniejwięcej dominuje nad nią w poszczególnych państwach. Wzajemne korygowanie fałszów, jakie się dziś odbywa, byłoby niezmiernie utrudnione. Historja w ujednoliconem państwie światowem odgrywałaby prawdopodobnie tę rolę, co „hypnopedja“ w koszmarnej utopji („Nowy wspaniały świat”) Huxleya. — Dobrze więc, że na kongresach są dysharmonje w referatach, będące skutkiem niepodległości narodów i wyrazem wolności nauki... Przyszły kongres odbyć się ma w Szwajcarji. Prezesem jednak obrano Anglika, prof. Temperleya z Cambridge. Ten najgłębszy dziś w swojej ojczyźnie znawca tajników angielskiej polityki wschodniej jest m. in. autorem (czy, ściślej mówiąc, redaktorem) sześciotomowej historji konferencji pokojowej w Wersalu. W dziele tem kwestje polskie opracował, pod kierunkiem redaktora, p. Paton, dziś profesor nie historji, lecz filozofji na uniwersytecie w Glasgow.

VII KONGRES NAUK HISTORYCZNYCH

METODOLOGJA I TEORJA HISTORJI

SEKCJA XIII (metodologja i teorja historji) nie miała szczęścia, jakby uległa feralności swej liczby porządkowej. Nie odbył się zaliczony do niej referat Bucharina: *„Zur Frage über die heutige Methodologie des Geschichterkenntniss“*, ani wykład W. Keilhan'a (Oslo): *„Historischer Materialismus oder historische Synthese“*, ani oczekiwane z zaciekawieniem omówienie stosunku historji do socjologji przez C. Bouglégo, sławnego profesora Sorbony. Zawiód również odczyt p. St. Hajnala z Budapesztu: *„Schriftlichkeit und Intelligenzschicht als Wegbereiter des Neuzeit“*. Na zapytanie zawiedzionych słuchaczy przewodniczący p. Berr odpowiedział dowcipnie: *„Ne me demandez pas ce qu'il est arrivé avec des monsieurs, qui ne pas arrivés...“*.

Odbył się więc tylko referat p. F. Morrow Flinga z Uniwersytetu Lincoln w Nebraska o „Syntezie historycznej“. Prelegent, zwolennik, a bodajże i uczeń Rickerta i szkoły badeńskiej, przeprowadził rozróżnienie historji od socjologji jako nauki o charakterze przyrodniczym, wyjaśniając rolę, jaką w syntezie historycznej odgrywa t. zw. teorja wartości. „Historyczna synteza, to rezultat istnienia rozwoju i stosowania w stosunkach ludzkich systemu wartości”.

Dyskusja stała, niestety, na dość niskim poziomie. Prof. Jelacic (Skoplje) wypowiedział truizm, że synteza historyczna winna uwzględniać pierwiastki ekonomiczne w bardzo szerokim zakresie, lecz nie wyłącznie, jak tego chcą marksiści. Jeden z delegatów francuskich dowodził, że historja winna być *„ni royaliste, ni républicaine, ni catholique, ni marxiste“*. Odpowiedział mu dobrze p. St. d'Irsay (Paryż), stwierdzając, że już sam wybór faktów, a cóż dopiero ich ocena zależna jest w sposób nieunikniony od zasadniczych poglądów filozoficznych i społecznych, których refleksem są i poglądy polityczne. Bez zasadniczych założeń ogólnych historja stałaby się w najlepszym wypadku bezdusznem przyczynkarstwem.

Następne posiedzenie sekcji upłynęło pod znakiem prac, wychodzących z kuźni *„Centre international de Synthèse“*. Dyrektor Centrum, p. Henri Berr poinformował zebranych o pracy, dokonywanej przez stowarzyszenie nad słownikiem pojęć historycznych, oraz przeczytał przygotowany doń artykuł o pojęciu „syntezy”. Prelegent omówił formy syntezy (erudycyjna i naukowa, formalna i konkretna) oraz badania nad przyczynowością w historji. Ściśle naukowy, zbyt może analityczny i pozbawiony ducha syntezy, ale b. staranny referat prof.

Berra uległ niefortunnemu losowi, gdyż do głosu głosu zapisali się dwaj „uczeni“ sowieccy, prof. Wołgin (Leningrad) i prof. Łukin (Moskwa). Obaj bolszewicy przynieśli z sobą napisane zgóry na wielkich arkuszach papieru przemówienia agitacyjne, nie mające żadnego związku z tematem i czytali je bez końca, gwałcąc regulaminowe pięć minut, nadużywając cierpliwości słuchaczy i łagodności kulturalnego, siwobrodego prelegenta. Jeżeli jeszcze prof. Wołgin starał się utrzymać swe nie na temat opracowane wywody na jakim takim poziomie, to już jego towarzysz, wygolony gładko, czterdziestokilkoletni żyd wygłosił zwyczajną mowę wiecową, która wywołała entuzjazm dość licznie zebranych jego współplemieńców, lecz mogła i powinna była głęboko zażenować inteligentnego zwolennika komunizmu. Przecież i materjalizmu dziejowego bronić można w sposób inteligentny! Spodziewać się należy, że referaty nieobecnych na zjeździe bolszewików: Bucharina i Łunaczarskiego stały na wyższym poziomie (przynajmniej tak sądzić można z planu Bucharina, zamieszczonego w tomie II „*Resumés des communications, présentées au congrès*“. Faktem jest jednak, że pierwszy występ Sowietów na kongresie historycznym zakończył się i pod względem propagandowym zupełnem niepowodzeniem.

W dyskusji nad referatem prof. Berra przemawiał również prof. J. Kleiner, wspominając m. in. o zasługach Lelewela i jego „Historyce”.

Następne wykłady obracały się w dalszym ciągu wokół słownika pojęć historycznych. Wobec nieprzybycie p. A. Toledano, sekretarza „*Centre de la Synthèse*“ nie odbył się jego referat o definicji Państwa, natomiast p. R. Bouvier przedstawił sumiennie opracowane wywody na temat pojęcia cywilizacji. Z kolei prof. F. Adkins z Londynu wygłosił wykład p. t. „*The approach to citizenship through history and through regional surveys*“. Prelegent omówił stosunek nauk historycznych do biologicznych, podnosząc zasługi francuza Le Play'a i anglika Geddesa na tem polu.

ODCZYT O KOBIETACH

Ostatni referat, p. L. Charewiczowej ze Lwowa dotyczył kwestji „czy należy napisać specjalną historję kobiety“. Prelegentka, którą streszczamy według tekstu, drukowanego w „*Rèsumé*“ („*La Pologne*“, tom I, str. 309) zaczyna swój referat od słów: „Ruch feministyczny spotykany dziś we wszystkich społeczeństwach cywilizowanych, będzie wzrastał z dnia na dzień“. Wątpliwe to twierdzenie wątpliwe powoduje wnioski. Zdaniem p. Charewiczowej „historja skupiała dotychczas swą uwagę głównie na typach męskich i ich działaniu“. Obecnie celem „Historji kobiet” ma być „badanie przesłanek historycznych, które w wynikach wytworzyły nowoczesną kobietę”. „Badania historyczne wykażą przyczyny bierności (-(kobiet)-) w przeszłości i (-(ich)-) czynności w czasach dzisiejszych, pozwolą... porównać intensywność wysiłku kobiet z rolą historyczną, którą odgrywają w poszczególnych okresach dziejowych”. Należy wyświetlić „gdzie się gubił ongiś ogrom energji, dziś odkrytej, przyczyny, które ją zatrzymywały i te, które ją wyzwoliły“.

Jak stwierdza referentka, „dotychczas ceniono wyłącznie zalety kobiece w c i a s n e m kole życia rodzinnego.“ Zdaniem p. Charewiczowej „praca dla rodziny jest wrodzonym i naturalnym obowiązkiem obu płci, a ponieważ mężczyzna okrywa się chwałą i przechodzi do historji nietylko z uwagi na swe zalety rodzinne, lecz i na postępowanie wobec Ludzkości, Narodu, Państwa, nauk, cywilizacji i sztuki — również i w historji kobiety winno się szukać i znajdować przedewszystkiem zalety i właściwości l u d z k i e, które przerastają przeciętność masy. Tam należy szukać wysokiej wartości pierwiastków czysto kobiecych i ich wpływu na życie społeczne.“

Już samo nazwanie życia rodzinnego „c i a s n e m“ dowodzi, że autorka nie rozumie roli kobiet i ulega typowemu błędowi feministycznemu. Obowiązki obu płci dla życia rodzinnego są równe, lecz ich zadania bynajmniej nie jednakowe. Żadne argumenty feministyczne nie zmienią faktu, że tylko kobieta zdolna jest do rodzenia dzieci i karmienia ich własną piersią, że przewyższa mężczyznę odczuciem duszy dziecka, zwłaszcza małego, że z natury predysponowana jest do kierowania wewnętrznem życiem rodziny. Laury zdobywa kobieta na tem przedewszystkiem polu. Mężczyzna natomiast spełnia swe obowiązki wobec rodziny pracując poza nią. Nie jest to rzeczą przypadku, że praca w służbie społecznej, naukowej, artystycznej daje jednocześnie podstawy materjalnej egzystencji rodziny. Pracując dla niej, mężczyzna j e d n o c z e ś n i e realizuje to, co mu daje tytuł do nieśmiertelności. Dlatego też działalność mężczyzn jest z natury swej historyczna, kobiety — z natury ahistoryczna. Ani to kobietom nie ubliża, ani ich społecznej roli nie umniejsza. Ale dlatego też wiekowa,—jakże ważna!— działalność kobiet może być pierwszorzędnym tematem socjologji, lecz nie historji. Wartość kobiet leży w tem, co im jest wspólne, mężczyzn—w tem, co odrębne, co ich wyróżnia od innych. Wiadomo zaś od czasów Rickerta, że przedmiotem socjologji są zjawiska ogólne i stałe, historji zaś — zdarzenia poszczególne i zmienne. Dlatego też np. wysoce pożyteczny w dziejach Rzymu okres rządów Antonina Piusa posiada charakter raczej a h i s t o r y c z n y, gdyż spokój, ład i brak wszelkich wstrząśnień w Państwie oraz rządy całkowicie w duchu poprzednika — niewiele dostarczyły historykom materjału.

Dlatego też nie zgadzamy się z wywodami p. Charewiczowej, że należy pisać odrębną historję kobiet. Byłby to dziwny melanż socjologji, etnologji, historji kultury i skrawków historji politycznej, sztucznie wydzielonych z całokształtu. Praca to nie warta zachodu i nie dająca wyników. W najlepszym wypadku owoce jej posłużą jako ilustracje do „Historji Feminizmu“, którą z czasem napisze jakiś badacz przebrzmiałej przeszłości.

FEODALIZM

Niezwykle ciekawe było posiedzenie sekcji specjalnej, poświęconej feodalizmowi. Między innemi doskonale opracowany referat wygłosił prof. A. D i v e k y, prof. uniw. w Warszawie i Budapeszcie, p. t. „Konstytucja Królestwa Jerozolimskiego a instytucje węgierskie i polskie.“ Prelegent wykazał kilka punktów analogicznych w konstytucjach trzech wymienionych królestw („*non praestanda oboedientia*“ „*neminem captivabimus*“ i przywilej niewzywania rycerstwa do walki poza granicami kraju). Analogje te mogą być wyrazem wpływów, które z Królestwa Jerozolimskiego, przeniesionego w 1187 r. na Cypr, przeszły do Węgier z okazji krucjaty w r. 1217, a stąd do Polski poprzez sto-

sunki andegaweńskie. Referat prof. Diveky'ego spotkał się z b. pochlebną oceną zebranych.

Bardzo źródłowy i cenny, choć nieco trudny okazał się następny wykład sympatycznego prof. H. F. Schmida z Grazu p. t. *„Lehenswesen und slawische Rechtordnung“*, w którym prelegent stwierdził, iż „słowiański ustrój zna publiczno-prawne elementy składowe lennictwa, lecz nie zna jego treści prywatno-prawnej.“

Doskonale łączył się z poprzedniemi wykład prof. Zygmunta Wojciechowskiego z Poznania p. t. „Pierwiastki narodowe i wpływy zachodnie w instytucjach politycznych dawnej Polski“. Referent podkreślił wybitną rolę rodów w Polsce pierwotnej, podobną do ich roli u Słowian. Ale podczas gdy u tych ostatnich rozwój ich przytłoczył i pochłonął władzę państwową, w Polsce (na szczęście) dokonał się proces odwrotny: dynastja piastowska utrwaliła swą władzę dziedziczną. Prelegent widzi w tem możliwość wpływu instytucyj i poglądów frankońskich, spopularyzowanych przez Karolingów.

Natomiast ustrój rodowy i jego obyczaje, przetrwałe do końca XIII wieku, pozwoliły na kolejne jednoczenie, drogę dziedzictwa, rozdrobnionych dzielnic piastowskich

Również dzięki przetrwaniu ustroju rodowego, drużyna cudzoziemska Piastów nie wytworzyła, jak na zachodzie, hierarchji feodalnej, lecz wsiąkła w tradycyjną strukturę społeczeństwa polskiego. Z organizacji rodowej wzięła też początek warstwa szlachecka, odmiennie, niż w krajach zachodnich.

Wielki wpływ miało prawo obce na ustrój miast u nas, ale miasta nie stały się czynnikiem samodzielnym w ustroju Polski. Oparta zaś o strukturę rodową szlachta zachowała zupełną równość prawną między sobą, uniemożliwiła powstanie hierarchji feodalnej, nawet tam, gdzie, jak na Litwie i Rusi, istniały jej początki, i rozbiła Rzeczpospolitą nd konglomerat ziem, decydujących *unamimitate* na sejmach. Katastrofa, która Słowian Nadłabskich spotkała w w. XII, na Polskę nadeszła o sześć stuleci później.

Następny prelegent, doc. dr. M. S. Iglicki z Poznania wygłosił referat na temat stosunku prawno-państwowego, zachodzącego pomiędzy Polską a Cesarstwem w czasach piastowskich. Główną wartość referatu stanowiło rzucenie obrazu tego stosunku na tło pojęć prawnych, właściwych epoce. Ze szczegółów podnieść należy oryginalną ocenę wypadków. roku 1000, kiedy to Otton III podniósł polityczną pozycję Bolesława Chrobrego, by umożliwić mu wykorzystanie praw suwerennych w stosunku do Kościoła. Bolesław otrzymał tytuł patrycjusza Cesarstwa Rzymskiego, a tem samem przestał być lennikiem Cesarstwa, którym po raz pierwszy w Polsce został Mieszko I w czasach Ottona II. Referent w ciekawy sposób ujął stosunek lenny do Cesarstwa jako kategorję ówczesnego prawa międzynarodowego, odróżniając tę podległość lenną od podległości lenników wewnątrz Cesarstwa. W XIV wieku kategorje te zanikają w związku z wyłonieniem się podówczas pojęcia suwerennych państw narodowych. Referent zwracał też uwagę na świadomą rolę Polski w walce Cesarstwa z Papiestwem, co chlubnie świadczy o zewnętrznej polityce Piastów.

Wobec spóźnionej pory, dyskusja, niestety, odbyć się już nie mogła, co było wyraźną stratą dla licznych słuchaczy.

SEKCJA NAUK FILOZOFJI

Program prac sekcji filozoficznej w obrębie Kongresu historycznego zaprojektowany był przez ks. Konstantego Michalskiego i miał za zadanie obradowanie nad teorjami politycznemi w ich historycznym rozwoju, poczynając od starożytności aż do chwili obecnej. Projekt ten nie dał się jednak w całości przeprowadzić: nie tylko nie dało się objąć całości rozwoju historycznego doktryn politycznych, ale nie udało się nawet ze zgłoszonych odczytów utworzyć cyklu, o jakimś wewnętrznym związku. Nieprzybycie wreszcie kilku zapowiedzianych referentów, a mianowicie ks. M. Grabmanna, profesora uniwersytetu w Monachjum, wybitnego znawcy filozofji średniowiecznej i doktryny tomistyczczne), prof. F. Battaglii, który miał mówić o rozwoju machiavellizmu, oraz franciszkanina O. A. Gemelli, rektora katolickiego uniwersytetu w Medjolanie i przodownika ruchu neotomistycznego we Włoszech, dało jako rezultat, że ograniczono się do wygłoszenia szeregu luźnie z sobą związanych referatów, do poruszenia fragmentarycznych tylko zagadnień historji teoryj politycznych.

Pierwszy dzień obrad pod przewodnictwem prof. Heimsoetha z Kolonji, w obecności licznego audytorjum (62 osoby) był najbardziej bliski zrealizowania pierwotnego planu komitetu organizacyjnego. Dyskutowano bowiem zagadnienia, wiążące się z teorjami politycznemi na terenie starożytności (trzy pierwsze referaty) i w czasach nowych (referat p Moreau - Reibel).

Referat p. Willman - Grabowskiej o pojęciu państwa w Indjach starożytnych, wykazujący dużą wiedzę referentki, pełen interesujących szczegółów, nie dał jednak należytej odpowiedzi na pytanie, czy i w jakim stopniu refleksje na temat zbiorowisk ludzkich, rządzącego i rządzonych i in., które referentka obszernie omawiała, dają się związać z rozwojem europejskich teoryj politycznych. To nieuwzględnione zagadnienie stało się tematem zapytania ze strony prof. Fabriciusa z Kopenhagi, który zwrócił uwagę na analogiczne refleksje, ujawniajace się w kulturze greckiej wśród siedmiu mędrców i prawodawców starożytnych (Zaleukos).

Maurice Defourny, profesor uniwersytetu katolickiego w Louvain, wygłosił na temże posiedzeniu referat o teorji państwa według Arystotelesa. W pierwszej części swego referatu uczony prelegent scharakteryzował pogląd Arystotelesa na genezę państwa i całość jego doktryny o państwie, w drugiej morfologją polityczną t. zn. doktrynę Arystotelesa o formach ustrojów politycznych i rządów. Podkreślając sławne założenie arystotelesowskie, że człowiek z natury jest istotą stworzoną do życia politycznego, autor wyróżnił trzy stadja egzystencji politycznej: rodzina, miasto, państwo, a przypominając twierdzenie o państwie jako o celu i o obywatelach jako o środkach, służących temu celowi, określił to stanowisko terminem statolatrji. W dyskusji nad tym interesującym referatem zabierali głos: ks. prof. Michalski i prof. Carlini, rektor uniwersytetu w Pizie, który zakwestjonował jakoby twierdzenie o statolatrji u Arystotelesa było historycznie poprawne.

Pokrewny zagadnieniom teoryj politycznych był referat prof. Emile Brehier z Paryża; dotyczył on zagadnienia genezy filozofji historji w starożytności klasycznej. Dotychczas utarty był pogląd, że filozofja historji jest dziełem Hegla. Jeżeli więc

chodzi o nazwę i dyscyplinę odrębną, to twierdzenie to możnaby było utrzymywać, jeżeli jednak chodzi o powstanie samych zagadnień, które stanowią treść filozofji historji, to genezy jej szukać należy znacznie dalej, t. zn. całkowicie wyraźnie u św. Augustyna w *„De civitate Dei“*, a nawet u Polibjusza i Cycerona, wśród których to myślicieli powstały dwa zasadnicze dla filozofji historji pojęcia: pojęcie mesjanizmu i humanizmu. Po tym cennym referacie odbyła się bardzo ożywiona dyskusja, w której prof. Carlini zwrócił uwagę na potrzebę uwzględnienia poza Heglem i G. B. Vico jako jednego z najznaczniejszych filozofów historji. Pozatem zabierali głos: prof. Zółtowski, p. Willman-Grabowska, ks. Michalski, p. d'Irsay z Paryża i prof. Wałek-Czernecki, który mylnie twierdził, jakoby stoicy mieli jakąś filozofję historji i jakoby ją od nich zapożyczył Polibjusz. Ostatnia uwaga spotkała się ze stanowczem zaprzeczeniem ze strony referenta.

Ostatni referat na pierwszem posiedzeniu wygłosił p. Moreau-Reibel (Kraków) na temat wpływu monarchomachów francuskich na Polskę. W dyskusji zabierał głos dr. Piszczkowski (Lwów).

Drugie posiedzenie odbyło się pod przewodnictwem prof. Brehier. Pierwszy referat, niefortunnie zaklasyfikowany do sekcji historji filozofji, wygłosiła panna Nelly Nucci, lektorka języka włoskiego na Uniwersytecie Jagiellońskim. Dotyczył on zagadnienia wpływu języka włoskiego na polski.

Mrs. Lacombe, amerykanin, zajmujący się od kilku lat sprawą organizacji pracy nad wydaniem korpusu średniowiecznych traktatów i komentarzy do Arystotelasa, w swym referacie zdawał sprawę z prac wykonanych w tym zakresie od czasów Kongresu w Brukseli, na którym ks. prof. K. Michalski przedłożył projekt tego wydawnictwa. Wyrażając słowa podziękowania współpracownikom ze wszystkich krajów europejskich, popierających to ważne wydawnictwo, zwrócił uwagę na fakt, że podjęte dotychczas poszukiwania archiwalne dały w wyniku kilku pierwszorzędnych odkryć, jak np. znalezienie w wersji łacińskiej traktatu Arystotelesa, nie istniejącego w wersji greckiej i dotychczas nieznanego, oraz innego traktatu, pochodzącego od Awerroesa, również nieznanego i niezachowanego w wersji arabskiej. W dyskusji zabierali głos ks. Michalski i prof. Ussani (Rzym), który podkreślił, że rząd włoski gorąco popiera omawiane wydawnictwo w przekonaniu, iż pełne wydanie Arystotelesa średniowiecznego stanie się ważnem źródłem, umożliwiającem głębsze zrozumienie i rekonstrukcję całokształtu średniowiecznej kultury zachodniej.

Trzecim z kolei był referat prof. Heimsoetha o polityce i moralności w filozofji historji Hegla. W referacie tym autor przedstawił w sposób głęboki i jasny główne punkty poglądu Hegla na historję. Wskazał mianowicie na koncepcję historji jako na urzeczywistnienie pewnych ogólnych praw, któremi rozwój ludzkości jest determinowany, podkreślił dualizm etyki i polityki, jako podstawy metafizycznego systemu Hegla.

Ostatni referat na tem posiedzeniu wygłosił prof. Adam Żółtowski p.t. „Hegel a pojmowanie historji w Polsce”. Rozpoczynając od scharakteryzowania głównych założeń filozofji Hegla, podkreślając filozoficzne elementy, wprowadzone przez Hegla do historji, jak pojęcie zmiany, odnowienia i celowości, wreszcie samo pojmowanie historji jako rozwoju ludzkości, autor zwrócił uwagę na recepcję i kontynuację tych poglądów w filozofji hr. Augusta Cieszkowskiego, autora „Prolegomentów” i „Ojcze Nasz”. W poglądach tego ostatniego, jak również Hoene-Wrońskiego, w których odbiły się także echa wypadków politycznych pierwszych trzech dziesięcioleci XIX wieku, znalazła wyraz zasadnicza tendencja polskich historjozofów — mesjanizm.

Trzeciego dnia prof. Carlini w referacie, zatytułowanym „Zasada osobowości w historji filozofji“, dał ekspozycję głównych założeń kierunku dziś panującego we Włoszech, zwanego idealizmem włoskim. W referacie swym uczony prelegent przeprowadzał tezę, że punktem wyjścia w dociekaniu filozofów nowożytnych był nie tyle świat empiryczny, ile raczej własna osobowość myślowa. Tego rodzaju stanowisko prowadzi do uznania wartości poglądów na świat poszczególnych myślicieli filozoficznych w obrębie ich systemów i jest zastosowaniem kantowskiego transcendentalizmu do historji filozofji.

Nestępnie ks. David (Kraków) wygłosił referat na temat wpływu szkoły w Chartres na Polskę, oraz p. Jobert (Wiedeń) informował w krótkim komunikacie o wynikach swych badań nad współpracownikami francuskimi Komisji Edukacji Narodowej.

Ostatni komunikat wygłosił p. Pierre Ducassé sekretarz czasopisma francuskiego *„Revue de la Synthèse“*, referując bardzo pożyteczny projekt opracowania historycznego słownika filozoficznego w obrębie ogólnego historycznego słownika nauk. W dyskusji nad tym projektem zabierali głos prof. Henri Berr, dyrektor wspomnianego wydawnictwa i Mrs. Lacombe, który jako paleograf z nieufnością traktuje wszystkie poczynania w kierunku syntetycznych zadań.

M. K.

LITERATURA NA KONGRESIE HISTORYKÓW

Odrębna sekcja literacka na międzynarodowych kongresach historyków, powstała dopiero w sierpniu 1928 r. na przedostatnim zjeździe w Oslo. W Warszawie zebrała się więc zaledwie po raz drugi. Miało się chwilami wrażenie, sądząc po dość skąpem w niej uczestnictwie, jakgdyby zlekceważyli ją zarówno obcy jak i nasi historycy literatury. Dziwić się temu nie można. Zbyt bowiem wyosobniła się i rozrosła nauka o literaturze, ażeby w zjeździe międzynarodowym pomieścić się mogły wszystkie jej rozległe dziedziny w jednej skromnej sekcji. Konieczności odrębnych zjazdów badaczy literatury dał już należyty wyraz pierwszy międzynarodowy kongres historyków literatury w Budapeszcie w roku ubiegłym.

Na kongres warszawski zgłoszono w sekcji historji literatury 18 referatów, wygłoszono zaś z tego jedynie 12. Brało zatem udział: czterech Francuzów i tyluż Polaków, dwu Węgrów, jeden Włoch i jeden Niemiec. Oczywiście, w dyskusjach, nieraz bardzo ożywionych, przemawiało wielu uczonych, nie tylko zresztą historyków literatury. Na kongres przybyli głównie „komparatyści”, członkowie założonej w Oslo międzynarodowej komisji historji literatur nowoczesnych. To też wszystkie nieomal referaty były sprawozdaniami z badań porównawczych lub komunikatami, w których wysuwano postulaty tych badań. Nie przybył wprawdzie „prezydent” komparatystów F. Baldensperger, profesor Sorbony, ale zastępował go godnie Paul Van Tieghem, również profesor

Sorbony, znany badacz preromantyzmu, autor *„La littérature comparée”*, o której obszernie pisał w „Myśli Narodowej” (1932, Nr. 23) prof. Folkierski. Van Tieghem zdawał sprawę z postępu prac nad międzynarodowym skorowidzem chronologji literackiej, rzeczy niezwykłej dla badaczy wagi, której on jest projektodawcą. Pierwsza część tych zestawień, prawie już gotowa, obejmie lata 1450—1599 i opublikowana zostanie w 1934 r. Dodajmy tutaj nawiasem, że jedyna w Polsce „Myśl Narodowa” ogłosiła w 1931 r. (Nr. 16, str. 189) tablicę takiej chronologji literackiej za lata 1577 i 1578, wykonaną tytułem próby, a niezmiernie ciekawą, jeżeli chodzi o stosunek literatury naszej do innych piśmiennictw. Druga część zestawień, nad któremi rozpoczęto już pracę, obejmie lata 1600 — 1699. Polskę w tej epokowej pracy reprezentuje prof. W. Folkierski.

Spraw międzynarodowej organizacji badań oraz wymian i kontaktów literackich tyczyły również referaty prof. J. Hankissa z Debreczyna oraz prof. H. Tronchona ze Strasburga. Najwięcej jednak referatów obrazowało stany i postulaty badań w zakresie wzajemnych wpływów. Więc np. prof. *Collège de France* P. Hazard i H. Bédarida z Grenoble mówili o wpływach francuskich na Włochy w XVIII wieku. Prof. G. Maver z Rzymu rozważał z wielkiem znawstwem problem literackich kontaktów Polski z Zachodem; dr. Z Ciechanowska charakteryzowała stosunki literackie pomiędzy Polską a Niemcami w XVIII w. A w księgach kongresowych pozostało kilka streszczeń niewygłoszonych referatów, zdających sprawę z wpływów francuskich na Hiszpanję i Rumunję, oraz z wpływów włoskich na Polskę.

Również referat prof. W. Folkierskiego z Krakowa, o Słowackim i Alfredzie de Vignym, należał do zakresu komparatystyki literackiej. Była to świetnie wypowiedziana, pyszną francuzczyzną, której niemal żaden Francuz na kongresie nie dorównywał, lekcja pojmowania metody porównawczej a zarazem przykład szerokich możliwości osiągnięć w stosowaniu tej metody do wyjaśniania pewnych momentów twórczych. Wykład prof. Folkierskiego był doskonałą *pointe*'ą, która kończyła czwarte z rzędu, ostatnie posiedzenie sekcji, była dużym sukcesem polskim, a rezultatem naukowym najlepiej atestowała komparatystyce.

Przedtem jednakże wygłoszono jeszcze dwa referaty z zakresu teorji literatury. Znany dobrze w nauce niemieckiej prof. Zygmunt Łempicki z Warszawy, mówił na temat *„Literaturbetrachtung und Literaturbewegung“*, definjując ściśle i bezapelacyjnie zasadnicze pojęcia przedmiotu, zakresu i istoty zjawisk literackich, oraz ruchu literackiego. Pomimo ogólnej zgodności z nowemi prądami w badaniach literackich, poglądy Łempickiego cechuje duża samodzielność myśli, zdecydowanie i precyzja definicyj. Wywody jego, niestety nie drukowane w publikacjach zjazdowych, prześwietlał z innego stanowiska prof. J. Kleiner ze Lwowa, nieprzekonywające ich strony atakowali prof. Folkierski i prof. J. Matl z Grazu, biorący wysoce aktywny udział w posiedzeniach sekcji.

Wkońcu zaś prof. Zygm. L. Zaleski z Paryża wypowiedział, w pełnym subtelnych rozróżnień i pięknym wykładzie, obronę krytyki „bezpośredniej” w badaniach literackich, zyskując dla tez swoich duży aplauz.

Wniosek ogólny z posiedzeń omawianej sekcji nasuwa się jeden: wyosobnić z kongresu sekcję literacką i stworzyć z niej komórkę organizacyjną najbliższego międzynarodowego zjazdu badaczy literatur.

P. G.

WYSTAWA ZBIORÓW HISTORYCZNYCH BIBLJOTEKI NARODOWEJ

BIBLJOTEKA Narodowa zorganizowała z okazji Kongresu Historyków wystawę swoich zbiorów historycznych.

Wystawa ta, poświęcona historykom, interesująca jest także i dla laików. Ukazano tam bowiem wszystkie niemal zabytki piśmiennictwa polskiego (nietylko z dziedziny historji), w ich pierwszych lub najstarszych zachowanych wydaniach. Długi szereg ksiąg i autografów, począwszy od najpierwszych, a skończywszy na czasach przedostatnich i ostatnich, rozpoczynają w drewnianej skrzyneczce zamknięte strzępki „Kazań Świętokrzyskich“ i pięknie zachowany „Psałterz Florjański“. Począwszy od tych najstarszych, czcigodnych zabytków, poprzez najpierwsze odpisy kronik: Anonima Galla, Kadłubka, Długosza, dzieła Kallimacha, Bielskiego, Kromera, *Acta Tomiciana*, korespondencję Żółkiewskich, Chodkiewiczów i Czarnieckich i wielu innych prowadzi wystawa ku czasom emigracji i powstań 30 i 63 r.

Po zobaczeniu własnemi oczyma tych dostojnych ksiąg i rękopisów, stosunek do tych dzieł, stanowiących często etapy w historji kultury polskiej, staje się bardziej konkretny, bliski, bardziej osobisty. Widząc piękno starych illuminacyj, dbałość około piękna graficznej strony starych druków, poznaje się raz jeszcze, że dziedzictwo dawnej Polski nie ubożuchne jest, ale pełne chwały i majestatu. Porównując polskie księgi illuminowane z dość licznemi eksponatami illuminacyj francuskich, czy włoskich, dostrzega się w charakterze tych illuminacyj wyraźne różnice, przekonywa się, że w tak jednolicie skierowanej, tak jednym duchem przepojonej sztuce średniowiecza, dużo jeszcze swobody zostało dla wypowiedzenia się w sposób odrębny i że Polska wypowiedziała się tu godnie.

Wiele zabytków rękopiśmiennych pozwala wejść w bliższy kontakt z historycznemi postaciami dawnej Polski, poprzez charakter ich pisma odczytać obraz ich nietylko z perspektywy historyczno - naukowej, ale i ze zbliżenia niejako osobistego. Można więc na wystawie zobaczyć dostojny podpis Sigismundi Augusti, nerwowe pismo Samuela Zborowskiego, spokojne i stanowcze Żółkiewskiego i Chodkiewicza, dalej zaś, w dziale literatury, autografy Potockiego, Krasickiego, Niemcewicza, trzech wieszczów, Norwida, Sienkiewicza, Wyspiańskiego (b. bogaty zbiór), Reymonta czy Żeromskiego. Tu znowu utworzyć sobie można obraz np. Słowackiego, nietylko jako wielkiego Juljusza, ale ten bardziej osobisty — jako smutnego Julka, tem oto drobnem pismem piszącego listy do matki.

Wydzielone osobno działy, obrazujące stosunki Polski z innemi krajami, przekonywają naocznie, jak poczesne miejsce zajmowała Polska w rodzinie zachodnich narodów i jak żywy udział brała w ich życiu.

W krótkiej tej notatce staramy się dać zarys ogólnego wrażenia, jakie się z wystawy wynosi. Orjentowanie się w tem mnóstwie nagromadzonych zabytków, ułożonych zresztą we wzorowym i dobrze pomyślanym porządku w dużej i jasnej sali, ułatwia znakomicie obszerny katalog, zredagowany w języku polskim i francuskim. Katalog ten opatrzono opisem dziejów Bibljoteki Narodowej i księgozbiorów, jakie się na nią złożyły.

Ciągnący się historycznie, jak barwny pas słucki, szereg eksponatów zamknięto, jakby sztucznie doczepioną klamrą — wielkiem, na plan pierwszy wysuniętem stoiskiem ku czci pierwszego marszałka. Ministra wojny uhonorowano tu gipsową, większą niż naturalnej wielkości, bronzowaną podobizną, cyklem karykatur Czermańskiego i gablotą z książkami jego pióra. Czyżby i uczestników kongresu historyków chciano wychowywać w ten sposób państwowo? Ciekawe byłoby, ile skorzystał dzięki temu pod względem obywatelsko-państwowym n. p. prof. Jorga, lub znakomity badacz Bizantynizmu (zwłaszcza z epoki upadku) prof. Diehl?

Mimo jednak tego ukoronowania historycznego pasma, rozpoczętego przez Długoszów, akcentem „Poprawek historycznych“, wychodzi się z tej wystawy z obrazem dawnej Polski wzbogaconym o jedno więcej naoczne z nią zetknięcie. Dlatego warto, by tę wystawę zwiedziła jaknajszersza publiczność, oglądając nawet owo stoisko „państwowe“ — dostarczyć ono może pouczających porównań.

J. G.

OFENSYWA

BENRUBBI, BERGSON, BRÜHL, BLOCH...

NIE jest to temat dla publicysty, dla intelektu dziennikarskiego, to prawda, ale może poruszenie tego tematu jako sygnalizacja będzie podnietą dla któregoś z kompetentnych, młodych „klerków" filozoficznych, a wtedy cel sygnalizacji byłby osiągnięty.

Swego czasu słynny Achad Haam, jeden z „mędrców Syjonu" z Odessy, w polemice ze Salomonem Reinachem, autorem katechizmu wolnomyślicielskiego, osławionego „Orfeusza", pisał doń co następuje:

„Tylko ci, którzy działają z wolnej woli i z przekonania a nie z pobudek materjalnych, są wolnymi, natomiast ci, co odpadają od swego narodu, by się przypodobać innym, są w istocie swej niewolnikami. Nasi francuscy dobrodzieje pańskiego pokroju nie przeczuwają, jak my, w naszej wewnętrznej wolności do tego się odnosimy. My biedni żydzi Wschodu, radujący się z naszej religji i z naszej narodowej jaźni, uwolnimy was, żydów francuskich, z waszej wewnętrznej niewoli. Patrzcie! Już przychodzą do was ci biedacy ze Wschodu i poczynają na was wywierać swój wpływ, choć wy ich wcale jeszcze nie widzicie i ich wpływu nie doceniacie. Wszak i dostojnicy w starożytnym Rzymie patrzyli z pogardą na biednych przybyszów ze Wschodu, dopóki ci przybysze nie przewrócili do góry nogami całego potężnego świata starożytnego".

* * *

Dzieła, które należy przeczytać:

Lévy Brühl (profesor Sorbony): *„Les fonctions mentales dans les sociétes inferieures"*.

J. T. Bloch: *„Les Juifs et la prise de Conscience du Monde Contemporain"*.

Auguste Hollard: *„Le Dieu d'Israel"* z przedmową prof. Adolfa Lods.

Andre Metz: *„Bergson et la Bergsonisme"*.

J. Benrubbi: *„Les Sources et les Courants de la philosophie Contemporaine en France"* (160 portretów myślicieli francuskich, cena 100 franków, nagrodzone przez Akademję, wydawca oczywiście Alcan).

No i wreszcie Aimé Palliére: *„Bergson et le Judaisme"*, wydawca oczywiście Alcan.

* *

Aby zagadnienie, o które chodzi sprecyzować wyczerpująco, trzebaby przeczytać i przestudjować wszystkie te dzieła (oraz moc innych) i dopiero po roku dać ogółowi *resumé* z tego, ekstrakt, esencję. W danych warunkach zadanie nie do pomyślenia, a wogóle dla kogo innego; może prof. Znaniecki, a może ten pan Skiwski? Tu chodzi o co innego. Tu chodzi o to, aby po dziennikarsku sygnalizować fakt wsypania znakomitego myśliciela paryskiego, a Warszawianina z pochodzenia, przez jego adoratora i zelanta, Aimé Palliére, co u nas tendencyjnie przemilczeli „klerkowie" (nieliczni), zajmujący się zagadnieniami filozoficznemi i co przemilczeli recenzenci i referenci, zdający sprawę z ostatniego dzieła wynalazcy terminu *„elan vital"*, to jest z *„Les Deux Sources de la Morale et de la Religion"*. Paris 1932, (oczywiście Alcan Editeur).

Publicysta z obozu polskich... Liszeńców nie jest w jakiejkolwiek możności fundowania sobie jakichkolwiek książek; musi się, oblizując, kontentować smakiem i informować oraz orjentować tylko recenzjami z tych i owych dzieł i w ten sposób poomacku wyrabiać sobie pewne wyobrażenie (orjentację) i zachowywać jaki taki kontakt z... Europą. Muszą starczyć tygodniki i miesięczniki francuskie, i to pożyczane tu i ówdzie. Ale już z tego materjału przygodnego można wykazać, że... Palliére Bergsona wsypał w najlepszej intencji i z najpokorniejszą frenezją adoranta. Tu trzeba sobie koniecznie przypomnieć, jakie to oburzenie poszło w Europę, kiedy już w r. 1914 trzy książki Bergsona poszły na *Index Librorum Prohibitorum*.

Tymczasem teraz, teraz właśnie, po bardzo kurtuazyjnych recenzjach z ostatniej księgi Bergsona w katolickiej, poważnej prasie, współwyznawca filozofa, w pewnej mierze solidaryzując się z Metzem i z Benrubbim udowadnia, że ostatnie dzieło Bergsona wyszło w pełni z ducha semickiego, że jest niejako wyrazem nawrotu siedemdziesięcioletniego francuskiego filozofa do wiary przodków, że aczkolwiek Bergson nigdzie przez cały czas starannie nie wspomina Mozaizmu, to jednakże każda strona rozdziałów, poświęconych analizie religji, przeniknięta jest duchem proroków i mędrców Starego Testamentu i że w wielu punktach swoich rozważań i spekulacyj jak: geneza religji statycznej, magja, totemizm baśniotwórcza i mitotwórcza funkcja umysłu (*la fonction fabulatrice de l'esprit*), Bergson zbliża się do poglądów Levy Brühla, jednego z najzajadlejszych mędrców Izraela, a wrogów chrześcijaństwa w Paryżu.

Można sobie wyobrazić, jak nie na rękę, jak nie w porę są te nowe koncepcje czy to Metza czy Palliére'a o sięgnięciu i zaczerpnięciu nowych sił w prapokładach żydostwa wewnętrznego, jeżeli się zważy, jak skrupulatnie wytworny i wytrawny myśliciel przez całe dziesiątki lat trzymał się jak najdalej od paryskiego *„Le Noeud de Vipéres"*, od tych rojowisk Blochów, Hirschów, Brühlów, Halevych, Cermieux, Kahnów i Cohenów. Na najdalszych horyzontach swoich — istotnie subtelnych a głębokich rozważań, dociekań, spekulacyj nad religją, moralnością, historją, postępami wiedzy, wojną, pokojem, uniwersalizmem, mistyką — nie widział on żadnych takich aktualnych, konjunkturalnych zjawisk czy fenomenów, jak jakieś Proust'y, Reinach'y, Bendy i t. p. Nie poczuwał się do minimalnej solidarności z kahałem w Sorbonie, a od nahałów, zbierających raz po raz różne „protesty" odgrodził się kolczastemi drutami izolacji bezwzględnej. W niewielu, metaforycznie wycyzelowanych jego tomach nie było, zdaje się, jednego odcienia, przebłysku któryby zdradzał pochodzenie, przynależność Bergsona do tych, o których w liście do... Reinacha mówi Achad Haam, jako o wyzwalających żydostwo francuskie z... niewoli... Dopiero więc w ostatniem dziele: *„Les Deux Sources"* już sędziwego, dystyngowanego arystokraty ducha jest widocznie, znalazło się widocznie, coś, co usprawiedliwiałoby tę arbitralność Aimé Palliere'a, z jaką twierdzi, że w swych wywodach Bergson, choć o religji ojców swoich nigdy nie mówi, ale znać, że „ciągle myśli"...

Jest teraz rzeczą, a nawet obowiązkiem naszych specjalistów o dyscyplinie filozoficznej i talencie pisarskim wyszukać te związki i te nawroty. Dzieło ma być pono koroną jego dorobku myślowego. Czy tedy ten utajony, statyczny... semityzm jest ewolucją w jego twórczości, czy jest samą „ewolucją twórczą"? Czy Bóg, do którego zmierza na starość Bergson, jest tym samym, o którym w *„Le Dieu d'Israel"* mówi Auguste Hollard? Czy twórca intuicjonizmu, w swej analizie religji przeciwstawiając religji (i moralności) statycznej, przyrodzonej, religji, która jest obroną jednostki (i więzi społecznej) przed destrukcyjnemi skutkami zawsze egoistycznej inteligencji ludzkiej, przeciwstawiając tej religji statycznej dynamiczną religję aktywną, mytotwórczą (*fabulatrice*) miał na myśli, mógł mieć na myśli przeciwieństwo Mozaizmu i Chrystjanizmu? No i czy wogóle zajął w swych spekulacyjnych wywodach, pełnych pono niedomówień a nawet sprzeczności pewne zdecydowane stanowisko, czy też wobec różnych zakrętów i meandrów myślowych interpretować tekst można dowolnie i dochodzić aż do biegunowych konkluzyj i wniosków?

Najważniejsze atoli jest jednak to nowe, ponowne, potysiączne odkrycie tego, że żyd nawet z najwyższych, niedostępnych, najczystszych, najbezinteresowniejszych, ponadziemskich regjonów myślowych, żyd wyjątkowo szlachetnego, doborowego gatunku, żydem statycznym jednak pozostaje. Tak jest! Tak będzie! I tak jest dobrze! Lepiej!

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

W dawnej Rosji, szczególnie od chwili objęcia tronu cesarskiego przez Katarzynę II (z domu Holstein - Gottorp), żywiołem najbardziej uprzywilejowanym stali się t. zw. baronowie nadbałtyccy, protestanci i Niemcy z pochodzenia. To też historycy rosyjscy, piszący o tamtej epoce, zawsze przytaczali charakterystyczną anegdotę: Pewnego dnia, mianowicie, cesarzowa zapytała słynnego wodza ówczesnego, feldmarszałka Suworowa, czem mogłaby wynagrodzić wielkie jego zasługi dla ojczyzny. — „Najjaśniejsza Pani!" — miał na to odpowiedzieć Suworow - „Błagam o jedną łaskę: awansujcie mnie na Niemca".

Podobno... jeden z wybitnych obywateli w Polsce dzisiejszej, gdy zwrócono się doń z takiemże zapytaniem, odrzekł z westchnieniem: — „Awansujcie mnie na żyda".

OSTRZEŻENIE.

W Krakowie powstała instytucja p. n. Syndykat Prasowy. W rozsyłanych przez siebie okólnikach i cyrkularzach Syndykat Prasowy mianuje się „instytucją zcentralizowanych organizacyj wydawniczych".

Wobec tego władze Polskiego Związku Wydawców Dzienników i Czasopism wyjaśni ją, iż wymieniony Syndykat Prasowy ani nie centralizuje, ani nie reprezentuje żadnej organizacji wydawniczej.

Ponadto przypomnieć należy, iż w swoim czasie Syndykat Dziennikarzy Krakowskich wyjaśnił publicznie, że wyżej wymieniony Syndykat Prasowy nie ma nic wspólnego również z organizacją zawodową dziennikarzy polskich wogóle, a krakowskich w szczególności.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM